

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 27 (1089)

5 LIPCA 1981 R.

CENA 4 ZŁ

W NUMERZE:

Zarzućcie sieci – chrześcijańskie posłannictwo ● Rekolekcje we Wrocławiu ● Rzeźba Chrystusa Frasobliwego w religijności ludowej ● Pojęcie grzechu w Starym Testamencie ● Na przykładzie Bitgoraja



NA ZDJĘCIU: CZŁONKOWIE RADY GŁÓWNEJ POLSKIEGO NARODOWEGO KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO

W pierwszym rzędzie siedzą od strony lewej: bp Tomasz J. Gnat (diecezja wschodnia z siedzibą w Manchester), bp Józef C. Zawistowski (diecezja zachodnia z siedzibą w Chicago), bp Józef Niemiński (Kanada), Pierwszy Biskup Franciszek Rowiński, bp Tadeusz Zieliński (emeryt), bp Antoni Rysz (diecezja centralna z siedzibą w Scranton), bp. Jan M. Swantek (diecezja Buffalo-Pittsburgh) i mec. Ernest J. Gazda.

W drugim rzędzie od strony lewej: ks. senior Stanisław Skrzypek, mec. Zygmunt Białkowski, Wincenty S. Yuskiewicz (prezes Polsko-Narodowej „Spójni”), ks. Edward Sobolewski, Józefina Kastrą, Dorota Stachelska, Henryk Cybruch, Jerzy Balear, ks. senior Andrzej Cwikliński.

W trzecim rzędzie od strony lewej: M. Zięba, ks. M. Pytlarz, Juliusz Nagy, Łucja Graczyk, mec. Jan Story, Józef H. Kochan (sekretarz generalny „Spójni”), ks. sen. Robert Nemkowicz, Jan Ostrowski

CZWARTA NIEDZIELA

PO ZESŁANIU DUCHA ŚWIĘTEGO

Czytanie z Listu św. Pawła Apostoła do Rzymian — 8,18—23

Bracia: Sądzę, że utrapien czasu niniejszego ani porównać nie można z przyszłą chwałą, która się w nas objawi. Stworzenie bowiem z upragnieniem wyczekuje objawienia synów Bożych. Stworzenie bowiem poddane było znikomości nie ze swej woli, lecz dla tego, który je znikomości poddał w nadziei, że i samo stworzenie będzie wyzwolone z niewoli skażenia na wolność chwały synów Bożych. Bo wiemy, że całe stworzenie wzdycha i aż dotychczas rodzi wśród boleści. A nie tylko ono, ale i my sami, którzy mamy pierwiastki ducha, i my także we wnętrzu naszym wzdychamy, wyczekując przybrania za synów Bożych, odkupienia ciała naszego w Chrystusie Jezusie Panu naszym.

Psalm responsoryjny — (Psalmia Tobiaszowa, Tb 13,2—9)

Refren: Pragnę ogłaszać chwałę Boga mego

1. Niech będzie błogosławiony Bóg, który żyje na wieki; niech będzie błogosławione Jego Królestwo.
2. Wysławiajcie Go przed narodami; wysławiajcie Go przed wszelkim stworzeniem.

Refren: Pragnę ogłaszać chwałę Boga mego

3. Ponieważ On sam jest Panem i Bogiem naszym; On sam Ojcem naszym i Bogiem po wszystkie czasy.
4. On karci nas za nasze nieprawości; ale zmiłuje się nad nami wszystkimi.

Refren: Pragnę ogłaszać chwałę Boga mego

5. Błogosławcie Panu sprawiedliwemu; i głoscie chwałę Króla wieków.
6. Chwałę głosić pragnę Boga mego i Króla niebios, i dusza moja weselić się będzie z Jego wielkości.

Refren: Pragnę ogłaszać chwałę Boga mego

7. Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu.
8. Jak było na początku, teraz i zawsze; i na wieki wieków. Amen.

Refren: Pragnę ogłaszać chwałę Boga mego

Evangelia według św. Łukasza — 5,1—11

Onego czasu: Gdy cisnęły się rzese do Jezusa, aby słuchać słowa Bożego, On stał nad jeziorem Genezaret. I ujrzał dwie łodzie, stojące przy jeziornie, rybacy wyszli bowiem i płukali sieci. A wszedłszy do jednej łodzi, która była Szymona, prosił go, aby odjechał nieco od łądu. I siedząc, nauczał rzese z łodzi.

A gdy przestał mówić, rzekł do Szymona: Wyjedź na głębię i zapuśćcie sieci wasze na połów. A odpowiadając Szymon, rzekł Mu: Nauczycielu, całą noc pracując niceśmy nie złowili, wszakże na słowo Twoje zarzucę sieć.

A gdy to uczynili, zagarnęli ryb mnóstwo wielkie, tak że się sieć rwała. I skinęli na towarzyszków, co byli w innej łodzi, aby przybyli i pomogli im. I przyszli, i napełnili obie łodzie, tak że się prawie zanurzyły.

Widząc to Szymon Piotr, padł do kolan Jezusowych, mówiąc: Wyniędz ode mnie, Panie, bom jest człowiek grzeszny. Na taki bowiem połów ryb, jakiego dokonali, zdumienie ogarnęło jego i wszystkich, co z nim byli. Także i Jakuba, i Jana, synów Zebedeuszowych, którzy byli towarzyszami Szymona.

I rzekł Jezus do Szymona: Nie lękaj się, odtąd już ludzi łowić będziesz. A wyciągnąwszy łodzie na ląd i opuściwszy wszystko, poszli za Nim.

Jego wyznawcami i czcicielami. Takie posłannictwo otrzymuje każdy chrześcijanin, niezależnie od tego, do jakiego Kościoła należy, niezależnie od tego czy jest polskokatolikiem czy rzymskokatolikiem, prawosławnym czy anglikaninem. Do nas, do każdego z nas, z jedną mocą i powagą mówi słowa: Idźcie jako chrześcijanie, jako ludzie przez Boga powołani i posłani na świat... Idźcie i nauczajcie... Idźcie i zarzućcie sieci.

Polecenie to przypomina nam Kościół podczas każdorazowego spotkania z Jezusem Chrystusem w czasie ofiary Mszy Świętej. Tutaj bowiem spotyka się z nami Bóg w specjalny sposób. Tutaj Jego Syn darmo za nas ofiaruje się swemu Ojcu. Ale choć darmo, to jednak nie nadaremnie, nie bez konkretnego celu. I tak jak w chwili konsekracji chleba i wina na ołtarzu Jego ofiara Krzyża i Wieczernika staje się obecną wśród nas, wśród świata, tak i my mamy uobecnić na tej ziemi, wśród nas, w swoim życiu i działaniu Jego, Jezusa Chrystusa. Mamy stać się, działać i przemieniać nasze życie w duchu ewangelijnej prawdy, w duchu miłości i pokoju.

Kształtować życie swoje i życie świata według najwyższych wartości ludzkich, którymi są dobroć i pokój, miłość i życzliwość, to nic innego jak realizowanie owego — „zarzućcie sieci”, to trzon naszego, chrześcijańskiego posłannictwa. Jest to zadanie ambitne i zaszczytne. Wydaje się nam ono ponad nasze siły. Zachęta do jego wypełniania, biorąc pod uwagę nasze ludzkie słabości, nasze „świeckie” patrzanie niekiedy na świat i na Kościół, wydaje się nam często bezsensowna, wydaje się nam pustą grą słów, utartym sloganem. Ale tylko wtedy, gdy na polecenie samego Jezusa Chrystusa patrzymy czysto, po ludzku, a nie po Bożemu, a nie przez wiarę.

To prawda, że pomiędzy człowiekiem żyjącym za czasów działalności Jezusa Chrystusa na ziemi, a człowiekiem żyjącym współcześnie, a więc nami, istnieje jakaś różnica. Prawda, że na swej drodze, drodze wiary, spotykamy więcej niż kiedykolwiek przeszłość, więcej też może popełniamy pomyłek i błędów. Prawda, że współczesny człowiek jest bardziej niż kiedykolwiek wewnętrznie rozdarty, że więcej wie o tym świecie i jego problemach. Współczesny człowiek porzucił styl życia i myślenia starego świata, porzucił stary dom, gdy tymczasem nie bardzo orientuje się, jak będzie wyglądał ten nowy dom, a nawet jego zręby. Człowiek współczesny porzucił stare wody, a w tych nowych, zanieczyszonych, jest mu coraz trudniej żyć. Człowiek przeżywa rozterkę, bo nie wie i nie jest tak w stu procentach przekonany, czy porzucając stary świat i stary styl, nie porzucił tym samym pewnych wartości duchowych, które były tak bardzo ludzkie i bez których jego nowe życie może okazać się niepełne, okaleczone.

Byłoby jednak błędem, a nawet skrzywdzeniem współczesnego człowieka, gdybyśmy uważali, że zagubił on całkowicie i bez reszty to, co ludzkie, że zagubił on też całkowicie zmysł Boga i Jego spraw. Zmienił się i nadal będzie się zmieniał typ naszego stylu życia, warunki tego życia. Zmienił się i nadal będzie zmieniał się typ naszej religijności. To jest nieuchronne. Zresztą jest to zgodne z duchem Ewangelii, która niczego nie zamyka, przeciwnie — jest zarzewiem ciągłego rozwoju. I dlatego zmienił się sposób naszego odczuwania Boga i rozumienia Jego woli. Inaczej patrzmy na Kościół i na miejsce w tymże Kościele każdego człowieka. Wrosło poczucie odpowiedzialności wszystkich za Kościół, nasza świadomość religijna. W świecie człowiek nadal odczuwa i rozumie potrzebę sprawiedliwości i prawdy. Nadal człowiek tęskni i chyba zawsze będzie tęsknił za dobrem i pięknem. Zawsze też będzie dążył do odnowy świata i zawsze będzie szukał nowego, odnowionego człowieka. Zawsze, bo człowiek nigdy nie będzie zadowolony ze swoich osiągnięć. Zawsze więc będzie poszukiwał nowych dróg, nowych rozwiązań, zawsze będzie chciał wyjść niejako ponad siebie.

W tych poszukiwaniach, dążeniach i tęsknotach będzie zmierzał do osiągnięcia ideału, do tego właściwie, co w zasadzie zostało już nakreślone dawno temu, bo przez samego Jezusa Chrystusa, a co zostało i nam przekazane w Jego Ewangelii. Człowiek — w konsekwencji — będzie więc zmierzał zawsze do wypełniania woli Boga, tej woli, która ma na celu uświęcenie człowieka, jego doskonalenie — nie tylko techniczne, ale to duchowe, to, które ma na celu rozwój tego, co tak bardzo jest ludzkie. Będzie to niekiedy droga trudna, ale warto nią kroczyć. Będzie to niekiedy droga trudów i ofiar, ale Prawda warta jest tego, aby i to ponosić dla niej.

ZARZUĆCIE SIECI — CHRZEŚCIJAŃSKIE POSŁANNICTWO

Zastanawiające jest to, że wszystkie spotkania Chrystusa z ludźmi przekazane nam w opisach ewangelistów, kończą się poleceniem: Idź! Idź i czyn podobnie! Idźcie i nauczajcie! Idźcie — oto ja was posyłam. Dziś słyszymy podobne polecenie: „Wyjedź na głębię i zapuśćcie sieci wasze na połów... Nie lękaj się, odtąd już ludzi łowić będziesz”. I żadne z tych spotkań i poleceń nie prowadzi do przystani ciszy i spokoju. Jezus Chrystus bowiem wnosi w życie człowieka za każdym razem zarzewie czynu, budzi, zachęca i kieruje do czynu. Każdemu powierza jakieś zadanie do zrealizowania. W jednym wypadku jest to zadanie w stosunku do samego siebie, w innym — w stosunku do drugiego człowieka.

Od momentu, w którym Jezus Chrystus pojawił się na ziemi, stałe będzie kierował do człowieka swoje polecenie, swoje posłannictwo. Będzie to czynił poprzez Ewangelię. Będzie to czynił poprzez swój Kościół Powszechny. To posłannictwo kieruje do każdego człowieka a szczególnie do tych, którzy przyjmą chrzest i będą

Człowiek zmienia* się. Nieziemnym pozostaje tylko Bóg i Jego Prawda. Dlatego św. Paweł głosił: „Chrystus — wczoraj i dziś — i na wieki — zawsze ten sam” (Hbr 13,8). On jest tak dalece zawsze ten sam, że gdyby dziś przyszedł na ziemię nauczać ludzi, to chociaż wygłaszałby nauki w innej niż wtedy szacie, w innym może języku i stylu, chociaż w Jego przypowieściach odczuliśmybyśmy gwar wielkiego miasta, łoskot nowoczesnych maszyn, szum motorów, chociaż jeździłby może samochodem czy samolotem, to jedno pozostałoby bez zmiany: treść i duch Jego nauki pozostałby ten sam. Wszyscy, mieszkańcy miast i wsi, robotnicy i artyści, szoferzy miejskich taksówek i naukowcy z ultranowoczesnych laboratoriów, usłyszeli by to samo, a zwłaszcza to, co tak bardzo podkreślał: „Przykazanie nowe daję wam, abyście się nawzajem miłowali” (J 13,34). Tak samo powtórzyłby: zapuśćcie sieci... sieci miłości, dobroci i pokoju.

dokończenie na str. 3

N I E B O

Niniejszy artykuł nie pretenduje do roli głębszej rozprawy teologicznej, ani też nie jest to praca z dziedziny astronomii, chociaż operuje zaczerpniętymi również z niej pojęciami. Pisząc o niebie, pragnę nakreślić w możliwie najprostszy sposób to, co zwykły człowiek wierzący, prawdziwy chrześcijanin winien wiedzieć o mieszkaniu Boga i swojej przyszłej odcyżnieniu. Kościół Chrystusowy przypomina swoim wiernym realizm istnienia nadprzyrodzonego nieba tak przez codzienne nauczanie, jak też uroczyste przez obchodzenie specjalnych świąt, zwłaszcza Wniebowstąpienia, Wniebowzięcia, czy Wszystkich Świętych.

Starożytni ludzie lokalizowali niebo w górze, zaraz nad chmurami, na firmamencie usianym gwiazdami. Zbawiciel w swoim nauczaniu bazował na tej powszechnej wówczas opinii. On też umieszcza niebo w górze. Będąc konsekwentnym — odejściem w górę — musiał zainscenizować swoje Wniebowstąpienie. Oddajmy głos Ewangelii: „A Pan Jezus został wzięty w górę do nieba i usiadł po prawicy Boga” (Mr 16, 19). Jeszcze dobitniej relacjonuje odejście Pana Autor Dziejów Apostolskich: „(Jezus) został uniesiony w górę i obłok wziął Go sprzed ich oczu. I gdy tak (uczniowie) patrzyli uważnie, jak On się oddalał ku niebu, oto mężowie w białych szatach stanęli przy nich i rzekli: Mężowie galilejscy, czemu stoicie patrząc w niebo? Ten Jezus który od was został wzięty w górę do nieba, tak przyjdzie, jak Go widzieliście idącego do nieba (Dz 1, 10-11).

Nie ma w postępowaniu naszego Zbawcy żadnej mistyfikacji, bo niebo nadprzyrodzone jako miejsce mieszkania Ojca jest również w górze. Mówi o tym otwarcie mistrz życia wewnętrzznego — św. Paweł, apostoł, zachęcając Kolosan do myślenia o niebie: „A tak, jeśliście wzbudzeni z Chrystusem, tego co w górze szukajcie, gdzie siedzi Chrystus po prawicy Bożej. O tym, co w górze, myślcie, a nie o tym, co na ziemi”. Nas wszystkich pociesza nadzieja przybywania po śmierci z Chrystusem (Kol 3, 1-2).

„Potem i my... porwani będziemy obłoki w powietrze i tak zawsze z Panem pozostaniemy” (I Tes 4,17).

Ten sam Apostoł wyznaje, że był w niebie (najprawdopodobnie nie opuściwszy ani na moment ziemi) „Znałem człowieka w Chrystusie — mówi o sobie — który przed czterdziestu laty, czy to w ciele było nie wiem, czy poza ciałem, nie wiem, Bóg wie — został uniesiony w zachwyceniu aż do trzeciego nieba. I wiem, że ten człowiek, czy to w ciele było, czy poza ciałem, nie wiem, Bóg wie — został uniesiony w zachwyceniu do raju” (2 Kor 12, 2-4). Tak antropomorficznie przedstawione ujęcia nieba są z coraz większym sceptycyzmem przyjmowane nawet przez ludzi szczerze wierzących, tęskniących do wiecznej szczęśliwości w domu Ojca niebieskiego. I nie należy się temu dziwić. Przewrót w wyobrażeniach sprawił odkrycia astronomiczne, a zwłaszcza podróże w kosmos. Niebo zaczęło oddalać się coraz bardziej w głąb otchłani międzygwiazdowej, a obecnie cofa się chyba z szybkością większą niż światło! I chyba dobrze się stało, że zbyt materialnie pojmowane niebo przestało niemal być brane w rachubę. Bo nawet najpotężniejszy teleskop w bezdennej otchłani wszechświata nie dostrzeże planety, na której mieszkałby Bóg Ojciec z aniołami, gdzie zmartwychwstały Zbawiciel żyłby w swoim uwielbionym po zmartwychwstaniu ciele, gdzie przebywałaby Matka Najświętsza — jedyny człowiek z duszą i ciałem wzięty do życia wiecznego. Nim popatrzymy na niebo oczyma wiary, musimy stwierdzić, że dotychczasowe odkrycia nie przekreślają definitywnie możliwości istnienia, gdzieś na krańcach makrokosmosu, zmateriaлизованego formy biblijnego

nieba. Autorzy powieści fantastycznych wielokrotnie rozwijają możliwość poruszania się z szybkością większą niż bariera świetlna. Przykładem może być ludzka myśl, która w ułamku sekundy może przemierzyć miliardy lat świetlnych. Ale wróćmy na teren wiary.

Gdy się zastanowimy głębiej nad treścią tekstów biblijnych mówiących o niebie, zauważymy, że szukanie nieba nadprzyrodzonego w przestrzeni kosmicznej i próby nawiązania z nim materialnego kontaktu są niemożliwe, a wszelkie podróże bezcelowe. Bóg bowiem, „który przenika wszechświat cały a przede wszystkim człowieka, mieszka w światłości nieprzystępnej” (1 Tm 6,16), czyli w innym świecie. Nie trzeba więc wędrować fizycznie i przemierzać wielkich przestrzeni. Bóg i Jego niebo jest obok!

Jakże nie nazwać wieszczem nawet w religijnym znaczeniu wielkiego Mickiewicza, który czynił pełne nadprzyrodzonej prawdy wyznanie „Szukałem Boga na wysokim niebie — A On był bliżej mnie, niż ja sam siebie!” Słowa te, to echo słów natchnionych: „Czy nie wiecie, że światymia bożą jesteście, a Duch Boży mieszka w was?” Bóg mieszkając w człowieku nie przestaje mieszkać w światłości nieprzystępnej, czyli w niebie. Z tego wynika, że niebo nadprzyrodzone może być równocześnie bardzo daleko od grzesznika i bardzo blisko człowieka sprawiedliwego.

Łatwiej zrozumieć tę prawdę nam — ludziom doby telewizji i radia. Jeśli wpatrujemy się w wyłączony aparat telewizyjny nie zobaczymy ob-

razu elektronicznego i nie usłyszymy audycji, chociaż fale klebią się przed nami jak zawsze. Czyż nie może być analogicznie z niebem? Dopóki człowiek nie dysponuje odpowiednim aparatem, dopóki Bóg nie uzbroi nas w światło nadprzyrodzone, możemy ruszać się i żyć w bliskości Boga i nieba zupełnie o tym nie wiedząc. Na razie tylko nieliczni wybrani mieli możliwość oglądać niebo, lub odczuć go sercem. Do tych szczęśliwców należał apostoł Paweł. Święta Katarzyna ze Sieny pisze w swoim dziele traktującym o mistycznym zjednoczeniu z Bogiem: „Widziałam ducha w stanie łaski!” — potem za Orygenesem woła: „Czyż jest coś godniejszego podziwu nad to, że Bóg, który napełnia wszystkie światy, miści się w tak małym mieszkaniu jakim jest dusza? Gdy więc Bóg przez łaskę znajdzie się w naszej duszy sami niejako przemieniamy się w niebo. Święty Augustyn woła wprost „Żyjąc z Bogim niebem jesteśmy!” Istnieje jednak na razie istotna różnica między duszą przepojoną Bogiem, a niebem stanowiącym mieszkanie boże. Człowiek przez grzech może w każdej chwili utracić swój stan, zaś światłość wieczna pozostanie zawsze siedzibą Stwórcy. Zadaniem naszym jest takie postępowanie tu na ziemi, by stan światła nadprzyrodzonego dzięki łasce Bożej i naszym dobrym czynom tak się w duszy utrzymał, że nie tylko ona, ale również nasze ciało stanie się godne przeniesienia w nadprzyrodzony wymiar, czyli w wymiar życia wiecznego z Bogiem i w Bogu. W tej sytuacji lokalizacja nieba nie ma większego znaczenia.

Ks. ALEKSANDER BIELEC

POSIEDZENIE RADY GŁÓWNEJ POLSKIEGO NARODOWEGO KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W USA I KANADZIE

W dniach 28—29 kwietnia 1981 r. odbyło się w Scranton, Pa., posiedzenie Rady Głównej PNKK w USA i Kanadzie (patrz — okładka). Przewodniczący różnych komisji złożyli sprawozdania z działalności. Następnie omawiano aktualne problemy, związane z rozwojem Kościoła. I tak np. Pierwszy Biskup Franciszek Rowiński złożył sprawozdanie z udziału w sesji Międzynarodowej Konferencji Bisopów Starokatolickich. Pan Ernest Gazda (zmarł 14 maja 1981 r.) omówił sprawy dotyczące Mauzoleum Biskupa Hodura oraz poprosił, aby wyznaczono po dwie osoby z każdej diecezji do komisji, która ma się zająć zmianą nazwy Kościoła lub zatrzymaniem obecnej. Pan Wawrzyniec Orzeł (Laurence Orzeł) mówił o swojej podróży do Polski i pracy badawczej dotyczącej działalności biskupa Franciszka Hodura w Polsce. Biskup Antoni Rysz przedstawił sprawozdanie z działalności wydawniczej, a biskup Jan Swantek mówił o misjach Kościoła i dialogu z innymi wyznaniami. Prócz sprawozdań podjęto uchwałę o zorganizowaniu konferencji narodowej kleru, która ma się odbyć w październiku br. w Buffalo i 85 rocznicy PNKK w marcu 1982 r. oraz 16 Synodzie Generalnym w październiku 1982 r. w Mount Airy (Pensylwania).

dokończenie ze str. 2

Nauczyłby nas tego samego „Ojciec nasz”. W ten sam sposób zostawiłby nam siebie za pokarm i dał polecenie — „bierzcie i jedzcie”. Zostawiłby nam tę samą Ewangelię i tego samego Boga, który jest Ojcem. Tak samo powiedziałaby: „Idźcie i nauczajcie...”, Idźcie i zarzucajcie sieci...

Chrześcijanie mają głosić światu Jezusowe posłanie. Jest ono orędziem do świata, zawsze orędziem miłości i pokoju. Jest to stałe, nieustanne zarzucanie sieci. I połów.

W realizowaniu zadań związanych z misją Chrystusową nie jesteśmy sami. Żaden chrześcijanin na tym świecie nie jest sam. Zawsze przed nami idzie sam Chrystus. On jest zawsze tam, gdzie są ci, których On posyła. Tam też brzmi Jego słowo, tam odzywa Jego Ewangelia, tam On wchodzi w życie człowieka przez sakramenty święte i łaskę, by podtrzymywać i rozwijać w człowieku wartości ludzkie.

Po co Jezus Chrystus posyła swoje dzieci? Po co każe im „zarzucać sieci” i „łowić ludzi”? Po to, aby ludzi wiązać ze sobą, aby ich zbliżyć do siebie. Tym co wiąże, co zbliża człowieka do człowieka, co człowieka czyni potrzebnym człowiekowi jest dobroć i miłość, największa wartość życia człowieczego i fundamentalna zasada chrześcijaństwa.

I z takim właśnie orędziem, orędziem miłości, dobroci i pokoju posyła Jezus Chrystus każdego chrześcijanina. Posyła po to, aby ludzie stawali się coraz bardziej ludźmi, a ziemia stawała się coraz bardziej domem dla każdego człowieka.

Misję dobroci, miłości i pokoju zaczęło realizować kilkunastu

ludzi, kilkunastu Apostołów. A dzisiaj? Po upływie wieków ta sama misja, to samo zadanie realizowane jest przez miliony chrześcijan na całym świecie, przez starokatolików i rzymskokatolików, prawosławnych i ewangelików, anglikanów i grekokatolików. Wszyscy zarzucają sieci. Wszyscy łowią. Jest to potężna grupa, bo licząca około miliarda ludzi. Obfity też jest ten połów.

Posłannictwo Ewangelii realizowane jest w świecie nieustannie. Jest to wkład chrześcijan w proces realizowania się wielkiego dzieła rozwoju i przemiany świata, jego odnowy. I chrześcijanie powołani są po to, aby swym życiem i przykładem, słowem i działaniem, wyrażali największe wartości ludzkie, aby w każdym z nas i przez nas wyrażało się to wszystko, co w życiu tego świata jest najbardziej i najprawdziej ludzkie. W chrześcijanach, w nas, świat ma dostrzec to, ku czemu Bóg chce prowadzić człowieka. Dlatego Ewangelia, Jej orędzie, orędzie miłości, dobroci i pokoju będą zawsze światu potrzebne.

Dlatego i każdy z nas winien realizować to orędzie, owo zarzucanie sieci. Ma realizować, chociaż zmienił się człowiek, zmienił się czas i forma naszego działania. Pragnieniem Jezusa Chrystusa było bowiem, jest i będzie, aby Jego Prawda szerzyła się wśród świata poprzez ludzi, poprzez nas, na nasz — w pewnym sensie, dostosowany do czasów i warunków — sposób. Mamy wypełniać to tak, aby Chrystus zamieszkał przez wiarę w sercach wszystkich ludzi, aby wszyscy poznali Jego Miłość, przewyższającą wszelką wiedzę i mądrość, aby wszyscy doszli do Pełni Bożej, tej Pełni, którą jest chwala w Jezusie Chrystusie po wszystkie pokolenia.

Ks. TOMASZ WÓJTOWICZ

Rekolekcje we Wrocławiu

Tegoroczne rekolekcje w polskokatolickiej katedrze wrocławskiej zgromadziły wyjątkowo wielu wyznawców. Na pytanie dlaczego, odpowiedź jest bardzo prozaiczna: po prostu dopisała pogoda. Gdy w Warszawie, w piątek i sobotę przed Niedzielą Palmową lał deszcz, a przejmujące zimno nie zachęcało do opuszczania mieszkań, we Wrocławiu świeciło słońce i Niedziela Palmowa była wyjątkowo ciepła. Gdy w Warszawie cała przyroda nawet nie drgnęła mimo kalendarzowej wiosny, we Wrocławiu zazieleniły się drzewa, zakwitły kwiaty tak, że stolica Dolnego Śląska wyglądała prześlicznie.

Szli więc wyznawcy Kościoła Polskokatolickiego do swojej katedry ochotczo. Licznie wzięli udział w piątek w Drodze Krzyżowej, w sobotę we Mszy św. wieczornej i wysłuchali dwóch kazań rekolekcyjnych. W Niedzielę Palmową wypełniła się cała nawa katedry. Sam rządca diecezji, ks. infułata Wiesław Skołucki, przeprowadził spowiedź wielkanocną, którą poprzedził pobudzającym do żalu Słowem Bożym. Inni księża spowiadali dzieci i młodzież w konfesjonalach. Uroczystą sumę koncelebrowaną poprzedziła procesja z palmami. Podczas procesji śpiewał pięknie chór parafialny, świeżo zorganizowany i już dobrze wyszkolony przez ks. Rudolfa Nitsche. Ostatnie kazanie rekolekcyjne wygłosił ks. Edward Bałakier, który chętnie przyjechał do Wrocławia z Warszawy na zaproszenie ks. Infułata. Kazanie podobało się wszystkim, gdyż było oparte na Piśmie św., a równocześnie zawierało akcenty patriotyczno-społeczne.

Po nabożeństwie spotkali się na wspólnym obiedzie wszyscy duchowni oraz członkowie Rady Parafialnej. Zapytano ks. docenta z Warszawy, jak mu się podobały rekolekcje w katedrze wrocławskiej? Ks. docent wyrażał się o naszej parafii, o nabożeństwach w katedrze, o pracy duszpasterskiej Gospodarza diecezji i zarazem proboszcza ks. inf. Skołuckiego z pełnym uznaniem. Powiedział także, że zna parafię wrocławską od 1949 roku, ale nigdy jeszcze nie widział w katedrze tylu ludzi jak obecnie. Zachwycił się także czystością i wzorowym porządkiem w zakrystii i w całej katedrze. Wszyscy księża wikariusze mają swoje szafki na bieliznę kościelną i naczynia liturgiczne. Wszyscy mają wyznaczone funkcje na cały miesiąc. Nad pełnieniem tych funkcji czuwa kanclerz ks. Piotr Korpik — wysoki, z czarną brodą (jako były misjonarz Afryki) dostojnie porusza się po katedrze radując oczy wyznawców pogodą ducha i łagodnym spokojem.

Ks. inf. Skołucki umiał dobrać sobie odpowiednich współpracowników i pokierować nimi w sposób właściwy. On też jest duszą i sercem katedry, wzorowym duszpasterzem parafii i roztropnym rządcą diecezji. Oby takich pasterzy było jak najwięcej w Kościele naszym, oby Pan Bóg wzbudzał ich spośród młodzieży przygotowującej się do stanu duchownego zgodnie z proroctwem, które zawarte jest w Księdze Proroka Jeremiasza: „Pasterzy im wzbudzę, którzy paść je będą, i bać się więcej nie będą ni trwożyć, i żadnej nie zabraknie” (23,11).

E. R.



Wnętrze wrocławskiej świątyni w czasie nabożeństwa



Spowiedź św. ogólna



Komunia św. wiernych. Rozdzielają Eucharystię: ks. inf. W. Skołucki, ks. P. Korpik, ks. E. Bałakier



RZEŻBA

CHRYSTUSA

FRASOBLIWEGO

W

RELIGIINOŚCI

LUDOWEJ

Rzeźba przedstawiająca Chrystusa Frasobliwego stała się ogólnie uznanym „symbolem” polskiej dawnej sztuki ludowej. Nawet sam termin „Frasobliwy”, stosowany dla określenia postaci siedzącego Chrystusa z głową opartą na dłoni, jest zapożyczony z terminologii ludowej. W Polsce spotyka się wizerunki Chrystusa Frasobliwego od przełomu XV i XVI w. począwszy. W następnych wiekach — zapewne nie bez wpływów sztuki polskiej — przedstawienia Frasobliwego spopularyzowały się u naszych wschodnich sąsiadów, docierając aż na Syberię.

Ogromna popularność tego właśnie wizerunku Chrystusa fascynuje badaczy od dawna i wciąż na nowo. Był on szczególnie ulubionym obiektem modlitw ludzi prostych, ale także służył za natchnienie artystom — myślicielom najwyższego lotu, jak to się stało w przypadku Dürera. Szukając genezy historycznej i ideowej postaci człowieka siedzącego z głową wspartą na dłoni, prześledzono jej dzieje w różnych epokach i kulturach, na różnych kontynentach. Okazało się, że w kulturze basenu Morza Śródziemnego ma ona swą historię od starożytności począwszy.

Postać Chrystusa — człowieka wspierającego głowę na dłoni gestem zmęczenia, wyczerpania i rozpacz, czy tylko zamyślenia — dawała artystom możliwość wyrażania ogromnie złożonych treści emocjonalnych, symbolizujących idee religijne, zarówno te najbardziej wysublimowane jak i te zrozumiałe dla wszystkich.

Chociaż nie jest prawdą, że Chrystus Frasobliwy występuje w sztuce ludowej jedynie w Polsce, można powiedzieć, że jego

polskie wizerunki wyróżniają się na tle twórczości ludowej innych krajów europejskich. Osiągnęły wyjątkowo wysoki poziom artystyczny, występują w niespotykanej gdzie indziej mnogości wariantów ikonograficznych.

Ani jedna — z bardzo licznych figur Chrystusa Frasobliwego, zachowana w kościołach na terenie całej Polski — nie stała się wizerunkiem cudownym o większym zasięgu. Najbardziej znana jest późnogotycka rzeźba z kościoła św. Ducha w Sandomierzu, przybrana metalową sukienką w XVII w. Znana była też barokowa figura z kaplicy Bractwa Dobrej Śmierci u franciszkanów w Krakowie. Obie rzeźby stały się zapewne impulsem do powstania figur rzeźbionych na ich wzór, oddziaływanie żadnej z nich jednak nie przekroczyło granic regionalnych i nie było silniejsze niż działanie cudownych wizerunków Chrystusa Frasobliwego o zupełnie lokalnym znaczeniu.

Przykłady tego rodzaju kultu ludowego notujemy w XIX w. Na Podkarpaciu, przede wszystkim w okolicach Nowego Sącza i Limanowej, a także na Podtatrzu, wśród rzeźb ludowych dominuje (znane także w drzeworycie) przedstawienie wyobrażające Frasobliwego w płaszczu królewskim na ramionach i koronie cierniowej, dłonią obejmującego kolano prawej nogi. Przedstawienie to jest zapewne oparte na wzorze barokowym, trudnym dziś do ustalenia.

Podobne przypadki lokalnego kultu ludowego rzeźby Chrystusa Frasobliwego przytoczyć można i z innych stron Polski. W kościele parafialnym w Puszczy Solskiej pod Biłgorajem znajduje się drewniana figura z roku 1839,

szczególnie czczona i wielokrotnie naśladowana przez ludowych świątkarzy.

Przytoczone wyżej przykłady pozwalają nam przypuszczać, że szczególne nabożeństwo jakim otaczano niektóre wizerunki Frasobliwego rodziło się spontanicznie wśród wiernych, których modlitwy zostały wysłuchane. Nawet kult wizerunków cudownych nie przełamał w tym przypadku osobistego stosunku chłopów polskich do przedstawienia Chrystusa Frasobliwego, jako symbolu określonych uczuć i bliskości Boga człowiekowi. Nie doszło tu nigdy do tak zdecydowanego wyróżnienia jego wizerunków, jak działo się to z licznymi obrazami Matki Bożej.

Chrystus Frasobliwy należy do kręgu najważniejszych ilustracji plastycznych dramatu męki Syna Bożego i współcierpienia jego Matki. Na początku XVI w. pojawia się też w literaturze religijnej naszego kraju. Autor polskiego opisu Pasji, „Rozmyślań Dominikańskich”, umieszcza go wśród zdarzeń historycznych drogi krzyżowej. Dobrowolnie wydający się na łup oprawców i znoszący rozliczne cierpienia duchowe i fizyczne, w stanie ostatecznego wyczerpania, jest Chrystus wtrącony do jaskini na Gulgocie, gdzie siedział, wspierając głowę ręką. Przy cierpiącym Synu obecna była Maria. W innym, również polskim rękopisie datowanym na rok 1554, Matka Boża żegna się z Chrystusem, siedzącym na kamieniu w czasie przygotowań do Ukrzyżowania. Ilustracje plastyczne tej sceny znajdujemy w malarstwie ołtarzowym w początkach XVI w.

Dokończenie na s. 6

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (571)

w opracowaniu bp. M. Rodego

L napisany przez → biskupa ordynariusza (biskup jest nazwany zgodnie z nazewnictwem i klimatem nowotestamentowym — pasterzem, — stąd przymiotnik — pasterski), skierowany do swoich diecezjan w aktualnej ważnej sprawie i odczytywany z ambon przez podległych mu kapłanów. Zwykle listy takie, zawierające wykład czy komentarz teologiczny, przestrogi, napomnienia, ukierunkowania, biskupi ślą do swoich wiernych na początku Wielkiego Postu; w wyjątkowych jednak i ważnych sprawach również i w innych okresach → roku kościelnego.

Listy apostołskie — to listy napisane przez → apostołów, a skierowane albo bezpośrednio do wymienionych i określonych adresatów, albo też do wszystkich chrześcijan w ogóle. Autorem pierwszych jest → św. Paweł, a Listów tych jest, ogólnie tu i tradycyjnie rzecz ujmując, czternaście, siedmiu innych Listów autorami są inni apostołowie. Razem jest więc tych Listów dwadzieścia jeden. Pierwsze skierowaną są do wymienionych adresatów (Do Rzymian, dwa Listy do Koryntian, Do Galatów, Do Efazjan, Do Filipian, Do Kolosan, dwa do Tesaloniczan i Do Hebrajczyków albo Żydów, chociaż autorem tego ostatniego najprawdopodobniej nie jest św. Paweł), pozostałe siedem Listów do ogółu chrześcijan i przyjęło się je nazywać katolickimi, czyli powszechnymi (gr. katolikos = = powszechny), a ich autorami są: św. Jakub, św. Piotr (dwa Listy), św. Jan (trzy Listy i św. Juda Tadeusz. Listy te, w liczbie 21, należą do → kanonu Pismu św. Nowego Testamentu (→ Biblia), razem z czterema Ewangeliąmi, Dziejami Apostołskimi i Apokalipsów (Nowy Testament składa się z 27 ksiąg).

List rozwodowy — według Księgi Powtórzonego Prawa (Deuteronomium; XXIV,1: „Jeśli mężczyzna poślubi kobietę

i zostanie jej mężem, lecz ona nie pozyska jego życzliwości, gdyż znalazł u niej coś odrażającego, napisze jej list rozwodowy, wręczy go jej, potem ośle ją od siebie”) w Starym Testamencie — u żydów miały miejsce rozwody, chociaż co o sposobu i przyczyn dawania przez mężów swoim żonom listów rozwodowych różne u egzegetów żydowskich, i nie tylko u nich, panowały i panują poglądy, interpretacje praktyki.

Litania — (gr. litaneia = prośba, błaganie) — to nazwa modlitwy, prywatnej lub publicznej, czyli zatwierdzonej przez → Kościół i odmawianej również publicznie w kościołach, która zaczyna się greckimi słowami — Kyrie eleison, albo narodowymi — Panie, zmiłuj się..., a następnie wymienia ona szereg tytułów, przymiotów Osoby, do której się zwraca i odpowiedzi na te wezwania, tytuły, przymioty. Jeśli ta modlitwa-litania zwraca się do Jezusa Chrystusa, wówczas odpowiedź, błaganie, prośba — brzmi: Zmiłuj się nad nami; jeśli do Najśw. Maryi Panny, czy Wszystkich świętych, albo do św. Józefa — wtedy odpowiedź — błaganie — prośba — ma różne ujęcia, ale ich istotną treść stanowi: Módl się lub Módlcie się za nami. Najbardziej znanymi i publicznymi, czyli na ogół uznanymi przez Kościoły Katolickie, litaniami są: Do Najświętszego Imienia Jezusa, Do Najświętszego Serca Pana Jezusa, Do Najświętszej Maryi Panny, Do Wszystkich świętych, Do św. Józefa.

Litolatria — (gr. lithos = kamień, latreja = kult) — to termin oznaczający pogański, bałwochwalczy, religijny kult, oddawany przeróżnym kamieniom; wśród nich miejsce pierwsze zajmuje niewątpliwie tzw. Czarny Kamień, znaj-

Tekst pasyjny rozpowszechniony w Polsce w wersji łacińskiej, a powtarzający słowa Wincentego Ferrariusa opisuje tę scenę nieco inaczej. Ostatecznie wy-czerpany drogą na Golgotę Chrystus siada na przydrożnym kamieniu, aby uzmysłowić swej Matce ogrom przeżywanego cierpienia i boleści. Od tej chwili Maria współcierpiała z Chrystusem w męce.

Średniowieczni kaznodzieje nauce, że nie wystarczy przyglądać się biernie pasji Chrystusa, trzeba starać się wczuć w jej istotę tak bardzo, aby samemu przeżywać ją na nowo. Wizerunki Frasośliwego miały wiernym w tym dziele pomagać. Już przy końcu średniowiecza powstał zwyczaj umieszczania przy drogach figur Frasośliwego.

Najstarszą znaną figurą przydrożną z Frasośliwym jest wysoki, ok. sześciometrowy słup murywany z kamienia polnego, zwieńczony otwartą z trzech stron latarnią. Zachowały się do dziś ślady pierwotnie pokrywającego go tynku z dekoracją sgrafittową oraz drewniana rzeźba Chrystusa Frasośliwego umieszczona na szczycie figury. Kapliczkę tę, wzniesioną na szczycie wzgórza w Jodłówce Tuchowskiej koło Tarnowa, datować można na XVI w. Rzeźba jest dziełem średniej klasy warsztatu cechowego.

Z 1620 roku pochodzi figura przydrożna z Frasośliwym z Radoszyc pod Końskimi, która obecnie stoi na cmentarzu. Jest to również kapliczka słupowa. Na szczycie wysokiej, smukłej kolumny wznosi się kryta namiotowym daszkiem latarnia, z trzech stron pokryta płaskorzeźbami. Jedną z nich przedstawia Frasośliwego, również w typowym gotyckim ujęciu. Twórca kapliczki radożyckiej musiał być biegły-

szy w swym rzemiośle od kamieniarza spod Tarnowa ale obaj niedaleko odbiegają od sztuki właściwego późniejszym świątkarzem ludowym.

Kształt obu figur i sposób ich zdobienia płaskorzeźbami pozwala je zaliczyć do kręgu przydrożnych kapliczek kamiennych popularnych w Europie środkowej już w XV w. Na terenie naszego kraju zachowały się z tego czasu ich nieliczne przykłady w Małopolsce i na Śląsku. Wznoszono ich w Polsce wiele, począwszy od XVII wieku aż po wiek XIX włącznie.

Wspomniane wyżej rzeźby z kapliczek, podobnie jak inne zachowane do naszych czasów wizerunki Frasośliwego, pochodzące z czasów wcześniejszych niż koniec XVIII w., bardzo niewielką miały szansę powstać w wyniku fundacji chłopskich.

Od XVII w. datuje się, potwierdzony przez liczne źródła historyczne, zwyczaj stawiania ogromnej ilości krzyży, figur i kapliczek po wsiach i przy drogach. W wielu z nich umieszczano zapewne już wówczas figury Frasośliwego, podobnie jak to się działo i w późniejszych stuleciach aż po współczesność. Chrystus Frasośliwy był i pozostał jednym z najbardziej ulubionych tematów wiejskich świątkarzy.

Inne nieco niż w późnym średniowieczu, nie tak konkretnie umieszczone w kontekście przeżyć pasyjnych, pojawienie postaci Chrystusa Frasośliwego, potwierdza część jego wizerunków od XVII w. począwszy. Ukazują go one w płaszczu królewskim na ramionach i z trzciną w ręku. Tak widziany miał symbolizować zarówno tajemnicę Męki jak i Odkupienia, a także swojej królewskiej władzy nad światem. Ale w istocie swego gestu za-

myślenia, troski i cierpienia pozostaje wizerunek Boga człowieka najbliższego, najlepiej go rozumiejącego. Tak można by zinterpretować tekst barokowej modlitwy, której najstarszą wersję można znaleźć w modlitewniku z 1741 r. t

Co grzesznik na ten czas
rzecze

I do kogo się ucieczie
Gdy i w dobrym strach
dopieczę?

Królu straszliwy co same
Zbawiasz darmo swe wybrane
Zbaw mię dobro nieprzebrane!
Wspomni Jezu z łaski swojej,
żem przyczyną

drogi Twojej
Nie trać mnie dla złości mojej
Mnieś szukał, gdyś

spracowany

Siadał dla mnie
ukrzyżowany..."

Tekst owej modlitwy, której fragment przytoczyliśmy, przedrukowywano wiele razy w XVIII i XIX w. w popularnych modlitewnikach.

Zaczerpnięte z wiejskiej tradycji ustnej interpretacje postaci Chrystusa Frasośliwego posiadają wspólny rys; jest nim zwrócenie uwagi na element ludzkiego, serdecznego współczucia i zrozumienia dla wszelkiego bólu, cierpienia. Pan Jezus martwi się upadkiem ludzi, z kolei wierni starają się jego ból zrozumieć i współczuć mu. Umęczony odpoczywa na kamieniu. Jedynie modlitwy i określenia popularne jeszcze w ubiegłym stuleciu, a wypływające z odległej tradycji, mogą nam pomóc w zinterpretowaniu znaczenia ideowego dawnych rzeźb Chrystusa Frasośliwego i ukazać ich znaczenie w religijności ludowej.

Oprac. MAREK AMBROŹY



MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (572)

dujący się i darzony czcią w mahometańskiej świątyni → Kaaba w Mekce.

Litostrotos (gr. lithos = kamień, strootos = rozłożony) — to nazwa miejsca, gdzie → Piłat sądził → Jezusa Chrystusa (zom. Jan X,X,13); po hebrajsku — Gabbotha (miejsce wyłożone kamieniami; może była to mozaikowa posadzka).

Liturgia — (gr. leitos = publiczny, ergon = czyn, praca) — oznaczała dawniej, w czasach przed Chrystusem, świadczania, jakie bogaci obywatele, w pierw greckich miast-państw, musieli wypełniać na rzecz państwa; szczególnie praktyka ta była rozwinięta w Atyce i w jej stolicy — Atenach i dotyczyła zrazu przede wszystkim dwóch górnych, najbogatszych, warstw, czy klas obywateli; nazywano ich liturgami. W języku teologicznym w pierw również w starożytności przez Chrystusem liturgia nazywano sumę słów, gestów, obrzędów — wypowiedzianych czy wykonywanych publicznie przez kapłana i grupę ludzi, wiernych, w czasie czczenia określonego bóstwa czy bóstw. W chrześcijaństwie, które wyraz ten przejęło, liturgia w ogólności jest publiczną służbą Bożą, albo w szczególności publicznym kultem Boga, kultem wykonywanym według ściśle określonych zasad, słów, gestów, postaw itd., a więc według zatwierdzonego przez Kościół, czy Kościoły, rytu, czyli obrządku. Na tę publiczną służbę Bożą i na publiczny kult Boga, składają się w chrześcijaństwie, szczególnie w Kościołach Katolickich przede wszystkim: Msza św., szafowanie czy sprawowanie sakramentów św. i sakramentaliów. Ze względu na różne sposoby realizacji kultu w chrześcijaństwie, czyli od strony formalnej, wyróżnia się różne rytury czyli obrządku, które niektórzy przemienne nazywają też liturgiami. I tak mówi się m.in. o obrządku (albo liturgii): św. Jakuba czyli jerozolimskim,

dalej rzymskim, ambrozjańskim, antiocheńskim, aleksandryjskim, ormiańskim, greckim, nazwanym później moza-tabskim, hiszpańskim, galikańskim; ta różnorodność liturgii istniała i istnieje zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie, w Kościołach zachodnich i wschodnich. Odmienne liturgie czyli obrządku realizują u siebie Kościoły protestanckie, wywodzące się z XVI w. i te, które powstały w XIX w. a charakteryzują się one nie tylko w poważnej mierze odejściem od obrządków, praktykowanych w katolickich Kościołach wschodnich i zachodnich, ale przede wszystkim wielką prostotą i w poważnej mierze własnymi ustaleniami i ujęciami. Liturgie czyli obrządki innych religii, więc nie chrześcijańskich i nie katolickich, wykazują wielką zachowawczość, czyli trzymają się zasady prawie że niezmienności swoich starych ustaleń i praktyk liturgicznych.

Liturgika — (→ liturgia) — to nazwa jednej z dyscyplin teologicznych w teologii chrześcijańskiej, dyscypliny, czyli nauki, której przedmiot stanowią: historia, teoria i praktyka treści i form aktów publicznego kultu religijnego, przede wszystkim Mszy św. i innych liturgicznych czy również paraliturgicznych nabożeństw, → sakramentów świętych i → sakramentaliów albo sakramentaliów odprawiania czy sprawowania lub szafowania.

Liorente Jan Antoni — (ur. 1756, zm. 1823) — to hiszpański teolog, ks. rzymskokatol., o bardzo bujnej i różnorodnej, nie zawsze zgodnej z chrześcijaństwem i katolicyzmem, działalnością i postawie życiowej. Jest autorem kilku kontrowersyjnych książek, które miały jednak niemało czytelników. Tu wymienić trzeba dwie jego książki: *Histoire critique de l'Inquisition d'Espagne* (1817; za tę książkę spadła nie niego suspensa arcybiskupa Paryża), czyli *Historia krytyczna in-*

POJĘCIE GRZECHU W STARYM TESTAMENCIE

Pojęcie grzechu, jakim dysponuje dzisiejsze chrześcijaństwo, dalekie jest od rozumienia grzechu, jakim posługiwał się wczesnostarożytny Izraelita. Owcześnie Izraelita zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że nie dorównuje przewyższającemu go bóstwu. Inaczej mówiąc, świadom był swej niższości w stosunku do Boga. Ale niewiele wiedział o etycznej lub moralnej niedoskonałości, tym mniej o ogólnym zepsuciu człowieka. Pełne i właściwe pojęcie grzechu miało się kształtować stopniowo, w miarę pouczenia o tym człowieka przez Boga.

Stwierdzić przede wszystkim potrzeba, że w owych czasach obowiązywała odpowiedzialność kolektywna, zbiorowa. Grzech rozumiano jako rzecz wyizolowaną, jako czynność pojedynczą, ale skutki tej czynności, popełnionej przez jednostkę, spadały na całą rodzinę, ród, a nawet naród. Przekonanie to trwało długo i nie jest ono zupełnie obce naszym czasom. Wyrażała je zasada: „Ojcowie jedli cierpkie jagody, a synom zdrewniały zęby” (Jr 31,29).

Rzecz charakterystyczna, że według starej tradycji ST grzechu nie wyobrażano sobie jako czynu niezgodnego ze sprawiedliwością Boga, lecz jako czyn sprzeczny z Jego mocą i świętością. Bóg dla narodu wybranego był najwyższą mocą, której należało się podporządkować i uznać Jego wolę. „Któż zdoła stanąć przed obliczem Jahwe, tym Bogiem świętym?” (1 Sm 6,20). W zdaniu tym wyrażona została obawa Filistynów przed Arką Przymierza, której dotknięcie było grzechem i groziło śmiercią. Grzechem więc było odmówienie posłuszeństwa Bogu i Jego woli oraz nieprzestrzeganie przepisów kultowych, które określały przedmioty, czasy i osoby jako święte, czyli wyodrębnione z codziennego użytku i przeznaczone do kultu boskiego.

Grzechem było naruszenie zwyczajów izraelskich. „Tymczasem synowie Jakuba wrócili z pola... Opanowali ich smutek, a zarazem bardzo się rozgniewali, że popełniono czyn, który u Izraelitów uchodził za zbrodnię: zgwałcono córkę Jakuba, co było niegodziwością” (Rdz 34,7). Inaczej mówiąc, grzechem było to wszystko, czego w Izraelu nie czyniło się lub tak nie postępowało.

Nie rozróżniano grzechu świadomego od nieświadomego co również nie odpowiada nasze-

mu pojęciu grzechu, ponieważ nie można mówić o grzechu przy braku świadomości. Najcięższe grzechy stanowiły przekroczenia przeciw świętości Jahwe, i to niezależnie od świadomości. Można było popełnić bardzo ciężki grzech, nie wiedząc nawet o tym. Do ciężkich uchybień należały również czyny sprzeczne ze zwyczajami kultowymi. Przykładem może tu być zdarzenie z walki z Filistynami, gdy to „wyczerpany lud rzucił się na zdobywcę, nabrał owiec, wołów i cieląt, zarzynał je na ziemi i zjadał razem z krwią. Kiedy zawiadomiono o tym Saula, że lud grzeszy przeciw Jahwe że je razem z krwią, ten zawołał: dopuszczacie się niewierności!” (1 Sm 14,32n).

Od tak rozumianego grzechu, który należałoby raczej nazwać poczuciem uchybienia lub wprost uchybieniem, odróżnić należy pojęcie winy. Chrześcijanin zna poczucie winy, mianowicie że świadomie myśla, słowem, czynem lub zaniedbaniem nie zachował przykazań Bożych. Takiego pojęcia winy nie miał starożytny Izraelita, nawet po ogłoszeniu Dekalogu na Synaju. Na przewinienie wskazywało dopiero doznane nieszczęście lub wyrocznia. O zawinionym czynie, popełnionym przez króla Dawida, poucza go dopiero prorok Natan: „Ty jesteś tym człowiekiem... Czemu zlekceważyłeś słowo (przykazanie — wyjaśn. moje) Jahwe, popełniając to, co złe w Jego oczach? Zabiłeś mieczem Chetytę Uriasza, a jego żonę wzięłeś sobie za matronkę?” (2 Sm 12,7,9).

Wina uważana była za coś obiektywnego, faktycznie istniejącego. Analogicznie do pojęcia grzechu, które my określamy pojęciem grzechu materialnego, i wina mogła być świadoma lub nieświadoma. I tu można było

być winnym, nie wiedząc nic o tym. Również i tu obowiązywała zbiorowa odpowiedzialność. „W czasach Dawida nastął głód, trwający przez trzy lata zrzędu. Dawid więc radził się Jahwe. A Jahwe dał mu taką odpowiedź: Krew pozostaje na Saulu i jego domu: bo wymordował on Gibeonitów” (2 Sm 21,1). W słowach tych widoczna jest nie tylko zbiorowa odpowiedzialność, lecz również stwierdzenie, że wina jest czymś obiektywnym, co ciąży jak tajemnicza zła moc na rodzinie Saula i narodzie wybranym. Uświadomienie zaś tego stanu dokonało się dzięki wyroczni, pouczeniu Jahwe.

Jak grzech tak i wina wiązała się z uchybieniami i wykroczeniami etycznymi. Najczęściej jednak winę wiązano z przestępstwami kultowymi, i to niezależnie od świadomości. Świadczą o tym przepisy zawarte w Księdze Kapłańskiej, Liczb i Powtórzonego Prawa, które mówią o ofiarach, czynnościach związanych z ofiarami i wiele innych. W szczególności nie możemy wnikać, a jako przykład niech nam służy następujący przepis: kto będzie jadł z ofiary nieświeżej, tzn. trzeciego dnia, „zaciągnie winę, bo zbeszczył świętość Jahwe” (Kpł 19,7n).

Gdy zaś idzie o grzech pierworodny, zwłaszcza jego aspekt dziedziczny, należy stwierdzić, że na podstawie wypowiedzi Starego testamentu trudno udowodnić jego istnienie. Niewątpliwie znajdujemy tam aluzje, które pozwalają domyślać się tego rodzaju grzechu. W księdze Rodzaju czytamy o grzechu pierwszych rodziców (Rdz 3), na tej podstawie i na podstawie innych wypowiedzi starotestamentowych można przypuszczać, że istnieje jakiś związek grzechu Adama i Ewy ze stanem grzesznym całej ludzkości. „Wyraźnie jednak ta

zależność nigdzie nie jest określona. Stąd wskazana jest daleko posunięta ostrożność w interpretowaniu miejsc ST, które chciałoby się odnosić do grzechu pierworodnego” (ks. A. Jankowski, PEB I 434). Nauka o grzechu pierworodnym rozwinięta została przez tzw. judaizm, czemu daje wyraz Syr 25,24; Mdr 2,23n. W Nowym Testamencie klasyczny tekst o grzechu pierworodnym znajdujemy u św. Pawła w Liście do Rzymian 5,12-20. Problemowi temu wypada poświęcić jeszcze jedno rozważanie.

Wniosek, jaki nasuwa się po naszkicowaniu powyższych refleksji, sprowadza się do następującego stwierdzenia. Znajomość etyki wczesnostrożytnego Izraelity i jego wrażliwość na grzech i winę nie była pełna i dostatecznie wyrobiona, lecz dopiero stawała się. Na pierwszym planie stawiano obowiązki kultowe i utożsamiano je ze zwyczajami, czyli tradycją, które nie zawsze były obiektywnie dobre (por. Sdz 11,34nn). Podobnie wartościowane były i grzechy do najcięższych zaliczono przewinienia kultowe. Taki sposób myślenia i wartościowania doprowadził z czasem do sformalizowania życia etycznego i niereagowania na rzeczywiste przestępstwa moralne. Wiele grzechów przypisywano inicjatywie Jahwe, nie odróżniając dopustu Bożego. Nie zdawano sobie również w pełni sprawy z wolności woli człowieka. Stan taki trwał i obowiązywał dosyć długo, bo przetrwał czasy wczesnoprorockie i dotarł do proroków późniejszych. Zmiana i udoskonalenie ideału postępowania i lepszego rozumienia grzechu nastąpiło później, w czasach działalności wielkich proroków, ale o tym innym razem.



NA RZECZ DZIECKA

Udział Polski i Polaków w działaniach na rzecz dziecka w świecie datuje się od dawna. 11 grudnia 1946 roku został powołany Nadzwyczajny Międzynarodowy Fundusz Pomocy Dzieciom, zwany w skrócie angielskim UNICEF. Idea powołania tego funduszu jest polska. Wysunęli ją ówczesni polscy przedstawiciele współpracujący ze światową Organizacją Zdrowia. Jej inicjatorem i patronem był Ludwik Rajchman — bakteriolog i higienista, wielki społecznik. W kwietniu 1946 roku, podczas ostatniego posiedzenia UNRRA (Administracja Narodów Zjednoczonych dla Pomocy i Odbudowy), dr Rajchman zaproponował kontynuację działania tej organizacji w zakresie opieki nad matką i dzieckiem. Propozycję poparli przedstawiciele Francji i Szwajcarii. Intencją twórców UNICEF było „niesienie pomocy dzieciom krajów, które padły ofiarą agresji” i „generalnie — opieki zdrowotnej dzieciom”. W 1950 roku Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych postanowiło przedłużyć działalność UNICEF na dalsze trzy lata, a jesienią 1953 roku przekształciło go w stałą organizację Narodów Zjednoczonych. Zachowany został dawny, powszechnie znany i

szanowany skrót — UNICEF, jednakże właściwa nazwa organizacji brzmi: Fundusz Narodów Zjednoczonych Pomocy Dzieciom.

Polska współpracuje z UNICEF od momentu założenia tej organizacji i jest jednym z nielicznych krajów, którego przedstawiciel wybierany jest do Rady Wykonawczej przez cały czas istnienia Funduszu. Prof. Bogusław Kozusznik, przewodniczący Polskiego Komitetu Współpracy z UNICEF, zasiada w Radzie od momentu utworzenia tej organizacji. Inny Polak, prof. Edward Iwaszkiewicz był przez wiele lat jednym z zastępców Dyrektora Wykonawczego. Wprowadził on koncepcję planowania opieki nad dzieckiem. Dużą rolę w działaniach UNICEF na rzecz poprawy losów dzieci na świecie odegrali profesorowie: Bolesław Górnicki i Włodzimierz Kuryłowicz, szczególnie w zakresie prewencji i ochrony zdrowia dziecka.

W Instytucie Matki i Dziecka w Warszawie prowadzono — w ramach współpracy z UNICEF — szkolenie dla stypendystów UNICEF z krajów Afryki Łacińskiej w zakresie pediatrii i organizacji opieki nad matką i dzieckiem. Polski Komitet Współpracy z UNICEF za pośrednictwem

PCK udzielał doraźnej pomocy dzieciom — ofiarom wojen, agresji, głodu, powodzi, trzęsienia ziemi itp. Fundusze uzyskano ze sprzedaży w Polsce około miliona kart świątecznych UNICEF przeznaczone były na pomoc dla dzieci w krajach rozwijających się.

Udział Polski w działaniach na rzecz dziecka nie ogranicza się jedynie do współpracy z UNICEF. Działalność naszego kraju w dziedzinie ochrony praw dziecka ukoronowana została dwiema ważnymi inicjatywami: uchwaloną w 1959 roku przez Zgromadzenie Ogólne ONZ deklaracją Praw Dziecka oraz wniesioną przez rząd PRL w 1978 roku i przyjętą przez Komisję Praw Człowieka propozycją uchwalenia

Order Uśmiechu ustanowiony został z woli dzieci w roku 1968 w Warszawie. Znak tego Orderu — uśmiechnięte słońce — błyszczy dziś na piersiach wielu ludzi w Polsce, Austrii, Anglii, Czechosłowacji, Belgii, Finlandii, Indii, Iranu, Jugosławii, NRD, RFN, Szwecji, USA i ZSRR

przez ONZ Konwencji Praw Dziecka. Wystąpienie z inicjatywą przekształcenia istniejącej Deklaracji w Konwencję Praw Dziecka ma przede wszystkim na celu wzmoczenie w skali światowej troski o dziecko. Deklaracja zawiera zespół zasad, uroczystie przyjętych: są one jednak z punktu widzenia prawnego — tylko zaleceniami dla państw. Konwencja natomiast, po jej uchwaleniu i wejściu w życie w styczniu 1979 roku, ma moc obowiązującą.

We wstępie Deklaracji stwierdza się, że „dziecko z powodu niedojrzałości fizycznej i umysłowej wymaga szczególnej opieki prawnej zarówno przed urodzeniem, jak i po urodzeniu”. Dziecko zatem powinno być głównym celem walki o równe prawa i postęp społeczny. Pierwsza spośród 10 zasad Deklaracji ma znaczenie podstawowe. Stwierdza się w niej, że dziecko korzysta ze wszystkich przywilejów tu wymienionych i że obejmują one wszystkie dzieci bez względu na rasę, kolor skóry, płeć, język, wyznanie, poglądy polityczne, narodowość, pochodzenie społeczne, majątek, urodzenie lub inne. Przy czym zasadę tę stosuje się zarówno w stosunku do dziecka, jak i jego rodziny. Kolejne zasady przewidują między innymi ochronę ustawodawczą, prawo do obywatelstwa, korzystanie z dobrodziejstw ubezpieczeń społecznych, szczególną opiekę nad dzieckiem, gdy jest ono upośledzone pod względem fizycznym, umysłowym czy społecznym, prawo do harmonijnego rozwoju, pra-

wo do nauki, pierwszeństwo w ochronie zdrowia i pomocy, ochronę przed wszelkiego rodzaju okrucieństwem i wyzyskiem oraz dyskryminacją rasową, religijną lub inną. W Deklaracji zawarte jest też zalecenie wychowywania dzieci w duchu zrozumienia innych, tolerancji, przyjaźni między narodami, pokoju i powszechnego braterstwa.

Wszystkie te zasady są w Polsce konsekwentnie realizowane, w niektórych zaś dziedzinach polityka państwa wobec dziecka znacznie wybiega poza ramy zasad Deklaracji. Dotyczy to także innych konwencji międzynarodowych z zakresu ochrony praw dziecka, do których należy nasz kraj.

Dokument o ogromnym znaczeniu, szczególnie dla najmłodszego pokolenia przyjęło Zgromadzenie Ogólne ONZ w 1978 roku. Jest to wniesiona przez Polskę „Deklaracja o wychowaniu społeczeństw w duchu pokoju”.

Polska bierze udział w działalności szkół stowarzyszonych UNESCO. „System szkół stowarzyszonych UNESCO” powołany w 1953 roku ma na celu — jak głosi akt konstytucyjny UNESCO — „współpracę nad utrzymaniem pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego w dziedzinie wychowania, nauki i kultury”. Do eksperymentu przystąpiły 33 szkoły średnie z 15 krajów. Polega on na tym, iż w każdym państwie członkowskim, które go podjęło, realizuje się w wybranych szkołach określony program wychowawczy. Bazując na obowiązujących programach nauczania, uzupełnia się je cyklami, które poszczególne szkoły i klasy mogą wybierać. Tematy są następujące: walka o prawa człowieka, prawa kobiety, poznanie innych krajów, człowiek i jego środowisko, działalność organizacji międzynarodowych. Działalność szkół stowarzyszonych UNESCO została rozpoczęta w Polsce w roku szkolnym 1955/1956 z inicjatywy Polskiego Komitetu do Spraw UNESCO. Pierwszymi szkołami, które podjęły eksperymentalny rozszerzony program wychowania młodzieży, były dwie średnie szkoły ogólnokształcące w Warszawie: Liceum Ogólnokształcące im. N. Żmichowskiej i Liceum Ogólnokształcące im. B. Limanowskiego. Obecnie jest tych szkół ponad 40, w tym 5 szkół podstawowych.

Pełnego udziału Polski w działaniach na rzecz opieki nad dzieckiem w świecie nie sposób omówić, przedstawiono więc niektóre z przedsięwzięć międzynarodowych, w których Polska odegrała inicjującą lub decydującą rolę.

Polska miała bezpośredni wkład w kształtowanie programu Międzynarodowego Roku Dziecka. Przykładem było wprowadzenie do programu Organizacji NZ do Spraw O-



Ze swoją ulubioną lalką w objęciach maluchy czują się najlepiej..

chrony Środowiska (UNEP) tematu: „Dziecko a środowisko”. Był także nasz kraj inicjatorem i organizatorem seminarium poświęconego promocji i ochronie prawnej dzieci w Europie, którego tematy były następujące: „Ewolucja pojęcia praw dziecka”; „Odpowiedzialność rodziny i społeczeństwa w stosunku do dziecka”; „Organy państwowe podejmujące decyzje dotyczące dzieci”.

Szczególne znaczenie, z międzynarodowego punktu widzenia, ma Pomnik-Szpital Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie, którego inauguracja zbiegła się zarówno z Międzynarodowym Rokiem Dziecka, jak i 20-leciem uchwalenia przez ONZ Deklaracji Praw Dziecka. Wynika to stąd, że Centrum łączy w sobie wiele wątków historycznych, praktycznych i koncepcyjnych bezpośrednio związanych z międzynarodową współpracą w interesie dziecka. Doświadczenia Centrum stanowią istotny wkład do międzynarodowych programów opieki i ochrony dziecka. Z historycznego punktu widzenia Centrum Zdrowia Dziecka — pomnik męczeństwa dzieci polskich w okresie ostatniej wojny i okupacji — wiąże dzisiejsze i przyszłe działania z przeszłością, stwarzając dodatkowe u-

zasadnienie potrzeby zabezpieczenia opieki nad dzieckiem. Praktyczna działalność i teoretyczne założenia stanowią szeroką podstawę do współpracy międzynarodowej w interesie Polski i innych krajów. Tę rolę Centrum uznał UNICEF, przyznając symboliczną dotację na jego rozwój.

Współpraca międzynarodowa Centrum Zdrowia Dziecka jest różnorodna. Włączone zostało ono do realizacji w kraju i za granicą programu Międzynarodowego Roku Dziecka. Inicjuje współdziałanie z UNICEF, między innymi w szkoleniu kadr. Zawarta została umowa o jego współpracy ze Światową Organizacją Zdrowia. Uzgodniono, że Centrum będzie działało jako ważny ośrodek naukowo badawczy i szkoleniowy w ramach priorytetowych programów Światowej Organizacji Zdrowia, dotyczącego zdrowotnej opieki nad matką i dzieckiem. Centrum demonstruje i propaguje nowe, unikalne metody rozwijania opieki zdrowotnej nad dziećmi, co zostało między innymi podkreślone w wystąpieniu w Radzie Gospodarczo-Społecznej ONZ specjalnej przedstawicielki Sekretarza Generalnego ONZ do Spraw Międzynarodowego Roku Dziecka.

Krajowy program Między-

narodowego Roku Dziecka, dzięki jego treści i rozmachowi, z jakim został wypracowany i był realizowany, spotkał się z szerokim uznaniem międzynarodowym.

Specyficzną inicjatywą, która narodziła się w Polsce, a podjęta została przez UNICEF i rozpropagowana na całym świecie, jest przyznawanie symbolicznego odznaczenia — Orderu Uśmiechu. Otrzymują go ludzie, którzy zapewniają dzieciom pomoc, przyjaźń, przysparzają im radości w sposób wykraczający ponad ich obowiązki. Propozycje nadawania Orderu Uśmiechu przysyłają dzieci zaprzyjaźnione w drużynach harcerskich, mieszkające w jednym domu lub dzielnicy, chodzące do jednej klasy lub szkoły itp. Ostateczną decyzję o nadaniu Orderu Uśmiechu podejmuje Kapituła Orderu. W Polsce pierwsze

Ordery Uśmiechu przyznano w 1968 roku. Dziś jest już ponad 200 polskich Kawalerów Orderu i 24 zagranicznych. Są wśród nich lekarze, nauczyciele, pisarze, malarze, aktorzy itd.

Zgodnie z ustaleniami przyjętymi w porozumieniu z władzami UNICEF do Kapituły Orderu Uśmiechu weszli w 1980 roku po raz pierwszy przedstawiciele innych krajów: ZSRR, Anglii, Grecji, USA, Indii i Ghany. Dzieci ze wszystkich stron świata zostały poinformowane za pośrednictwem krajowych komitetów UNICEF o istnieniu Orderu i o tym, że mogą nadsyłać wnioski o nadawanie tego symbolicznego odznaczenia — podziękowania ludziom, którzy niosą im radość, uśmiech i przyjaźń.

HERBERT WIDERA

Z okazji Dnia Dziecka w wielu przedszkolach i szkołach odbyły się tradycyjne bale



Są aktorzy, których cenimy przede wszystkim za talent i mistrzostwo w swoim zawodzie. I są tacy, których podziwiamy i kochamy nie tylko dlatego, że są niezrównani w zawodzie, ale głównie za ich osobowość — wywołującą u widza uczucie wzruszenia, sympatii i zaufania.

Pozostawić po sobie ślad...

Do takich aktorów należała na pewno Jadwiga Smosarska. Była niekoronowaną królową polskiego filmu przedwojennego. Jej pełna urody postać ozdabiała reklamowe plakaty głośniejszych filmów 20-lecia międzywojennego. Nie było chyba w kraju, osoby której, niezależnie od płci i wieku, nie urzekłaby skupiona, pełna wewnętrznej ciepła gra znakomitej aktorki. Nie będzie przesady, jeśli powiemy, że tylko dla „Jadzi” — jak mówiono powszechnie o niej — tysiące kinomanów oblegało przybytki X Muzy. Miłośnicy filmu zarówno starszego jak i średniego pokolenia doskonale ją pamiętają. Była ona w latach ich młodości wyrazicielką ich skrytych i tajnych uczuć, niewyżytych aspiracji, tęsknot i marzeń. Ale nie tylko. Kiedy w 1968 roku widzowie telewizyjnego cyklu „W starym kinie” głosowali na najwybitniejszych aktorów polskiego filmu, w większości młode osoby zdecydowały, że Jadwiga Smosarska zajęła jedną z najwyższych pozycji. Kiedy w warszawskim kinie „Iluzjon” grają stare, nadgrzyzione zębem czasu taśmy sprzed 30-40 lat z jadvigą Smosarską, kino nie może pominąć wszystkich chętnych. Po co tam przychodzi? Jedni szukać tu wspomnień własnej młodości, inni — konfrontacji legendy z rzeczywistością. I jedni i drudzy nie zawodzą się. Wychodzą z kina skupieni, pełni wzruszeń, refleksji.

Po raz pierwszy Jadwiga Smosarska pojawiła się na ekranie w roku 1919, w filmie „Dla dobra kraju”. Pracując jednocześnie w filmie i teatrze w ciągu niewielu lat zostaje gwiazdą pierwszej wielkości. Powierza się jej główne role w dziesiątkach filmów. Reżyserzy ubiegają się o jej udział w realizacji filmów z uwagi na niezawodną gwarancję sukcesu — zawsze kasowego. Scenarzyści piszą dla niej specjalne scenariusze. Z okresu filmu niemeo najbardziej w pamięci widza zapisała się rolami w filmach: „Grzeszna miłość”, „Strzał”, „Niewolnica miłości”, „O czym się nie mówi”, „Tredowata”, „Iwonka”, „Tajemnica przystanku tramwajowego”, „Uśmiech losu”. Krytycy prasy filmowej piszą o niej: „W uśmiechu dziecko, w bun-

cie kobieta, urocze zjawisko, prawdziwy talent, wdzięk i rzadko spotykana u młodych artystek swoboda”...

Rewolta, jaką w kinematografii przyniósł wynalazek dźwięku, wyrzuciła poza atelier setki najgłośniejszych nawet gwiazd filmu niemeo. Tylko niewielu z nich poddało nowym zadaniom, przystosowało się do nowej estetyki filmowej. Wśród nich Jadwiga Smosarska zajęła czołowe miejsce. Nadal króluje w kinematografii polskiej odnosząc wielkie sukcesy. „Księżna Łowicka” (1932 r.), „Barbara Radziwiłłówna” (1936 r.), „Prokurator Alicja Horn” (1934 r.), „Czy Lucyna to dziewczyna” (1934 r.), „Jadzia” (1936 r.) — to tylko najbardziej popularne filmy, w których oglądaliśmy znakomitą aktorkę. Jej gra potrafiła przebrnąć przez najtrudniejsze scenariusze, nadać sens szmirowatym nawet melodramatom. Jej postać — obojętnie, czy w staropolskim kostiumie historycznym, czy we współczesnym ubiorze — na długo pozostawała w pamięci widza.

Wielką karierę filmową Jadwigi Smosarskiej przerwała wojna. W trudnych latach 1939-45 podziwiali ją podczas występów liczni żołnierze polscy rozsiani po wielu krajach Europy i świata. Jej piosenki i monologi dodawały otuchy ich sercom, zachęcały do przetrwania trudnych lat.

Po wojnie znalazła się artystka za oceanem (USA) i tam zamieszkiwała przez wiele lat. Nie zrywała jednak kontaktu z krajem, z Warszawą. Wielokrotnie odwiedzała Polskę, by w końcu powrócić do Warszawy na stałe. Zmarła w 1971 r. w wieku 71 lat.

Na kilka lat przed śmiercią tak pisała: „Dziękuję z całego serca wszystkim, którzy zachowali mnie w swojej pamięci. Jest to wielka dla mnie nagroda za wieloletnią pracę i ukojenie za przyszczenie i przedczesne opuszczenie sceny i filmu”.

Nie mniejszą sławą i popularnością cieszyła się Mieczysława Ćwiklińska. Ta wspaniała artystka z pokolenia aktorskiej rodziny Trapszów okazała się najwspanialszą latoroślą tego rodzaju. Kiedyś



Wybitni polscy aktorzy: Elżbieta Barszczewska i nieżyjący już dziś Tadeusz Fijewski w dramacie „Maria Stuart”



Scena również z „Marii Stuart”; występują: Nina Andrycz i Ryszard Barycz

stary aktor Siedlecki, grając rolę Rejenta w „Zemście” razem z Anastazym, Marcelem, Stanisławem, Ireną i panią Marcelową Trapszo, wszedłszy w IV akcie na scenę, zaimprovizował taki wierszyk:

„Mój Dyndalu wyznam
śmiele,
Tyle Trapszów to za wiele!”

Ale Trapszów, jak się okazało, nigdy na scenie nie było za dużo. Zamiłowanie aktorskie w tej rodzinie przechodziło z pokolenia na pokolenie, z ojca na synów. Przeszło i na wnuczkę — Mieczysławę Ćwiklińską. Aktorka teatru i filmu otrzymała od swego rodu najcenniejsze dary: wspaniałą twórczy talent, własną technikę gry aktorskiej, mrówczą pracowitość, wybitną inteligencję, wysoką kulturę duchową i towarzyską. A do tego jeszcze — idealne warunki zewnętrzne: uroczą twarz, piękne oczy, przemiłe brzmienie głosu, wytworny gest, czarującą kobiecość i zaskakujący temperament oraz wewnętrzną pogodę udzielającą się nawet najbardziej skrajnym pesymistom. I wreszcie wielką miłość do teatru, który do końca swoich dni uwielbiała ponad wszystko. Do wielkiej kariery szła o własnych siłach, dzięki ogromnemu talentowi popartemu mrówczą pracą. Jej debiut odbył się 2 grudnia 1900 roku rolą Helenki w „Grubych rybach” Bałuckiego, a osiem dni później grała Zofię w jednoaktówce Fredry „Zręczność i przekora”. Ale właściwa praca sceniczna M. Ćwiklińskiej zaczęła się od pozyskania jej — po miesiącu — przez Teatr Nowości.

M. Ćwiklińska nie zawierzyła jednak swemu szczęściu ani wrodzonym uzdolnieniom, lecz ze skromnością godną podziwu zabrała się do solidnej pracy nad sobą. Temperament sceniczny i piękny głos pozwoliły jej próbować sił w operetce (po odbyciu studiów wokalnych). Przez kilka lat operetka zaważadła artystką niemal całkowicie, przysparzając jej sławy i popularności.

ci. Na jej scenie rozwinął się też w pełni wielki talent Ćwiklińskiej. Dostrzegł go i ocenił Arnold Szyfman, zabierając artystkę do Teatru Polskiego. Jej talentem zainteresował się także polski film, powierzając aktorce wiele głównych ról. Mieczysława Ćwiklińska wystąpiła w 40 filmach, zdobywając uznanie i pochwały zarówno u krytyków, jak i u szerokiej publiczności. Do najlepszych jej filmów, które na długo zapisały się w pamięci jej licznych wielbicieli, należały: „Dzieje grzechu” (1933), „Czy Lucyna to dziewczyna” (1934), „Antek policmajster”, „Dodek na froncie”, „Wacusz” (1935 r.), „Jadzia”, „Pan Twardowski”, „Straszny dwór”, „Tredowata” (1936 r.), „Dziewczeta z Nowolipiek”, „Ordynat Michorowski”, „Znachor” (1937 r.), „Granica”, „Strachy”, „Profesor Wilczur” (1938 r.), „Testament profesora Wilczura”, „U kresu drogi”, „Złota maska” (1939 r.).

Po wojnie oglądaliśmy ją na ekranie tylko w „Ulicy granicznej” (1949 r.), ponieważ poświęciła się w tym okresie głównie teatrowi. Ta niestrudzona artystka stworzyła wiele wspaniałych, niezapomnianych kreacji aktorskich na scenach Krakowa i Warszawy — od repertuaru fredrowskiego po współczesny. Stała się symbolem wielkich tradycji i zdumiewającej żywotności polskiej sceny.

Po odejściu z Teatru Polskiego „na emeryturę”, kontynuowała dalej występy aktorskie, objeżdżając najdalsze i najbliższe zakątki naszego kraju z rolą babki w sztuce Casony „Drzewa umierają stojąc”. W sumie wystąpiła w 1300 przedstawieniach tej sztuki, wliczając występy w USA, gdzie była niezwykle serdecznie przyjmowana przez Polonię amerykańską, która na każdym kroku zapewniała artystkę o swym uwielbieniu dla niej. Pomimo sędziwego wieku artystka nadal zadziwiała swą żywotnością i umiłowaniem teatru. Do końca życia zachowała energię i szacunek dla ludzi.



Jeden z najbardziej lubianych obecnie aktorów — Wiesław Gołas

W pamięci telewidzów zachował się chyba szczególnie jeden z licznych obrazków jej życzliwości, kiedy to artystka przyjechała dorozką na uroczystość wręczenia „Złotej płyty” sympatycznemu i bliskiemu każdemu warszawiakowi matorskiemu zespołowi, tzw. „Orkiestry z Ulicy Chmielnej”. Temu zespołowi, który w czasie okupacji swą muzyką i piosenką zagrzewał do wytrwania, do walki, a i dzisiaj nie jednemu przechodniowi wycisnie łzę w oku... Znakomita artystka doceniła muzyków z ulicy Chmielnej i jako pierwsza złożyła im najserdeczniejsze gratulacje. To był wielki dzień — chyba najpiękniejszy w historii tego zespołu.

Sędziwa artystka zmarła w Warszawie w wieku 92 lat. Nie dożyła niestety wieku L. Solskiego. Popularny tygodnik „Film” w nr 33 z dn. 13 sierpnia 1972 r. tak pisał o jej zgonie: „Mieczysława Ćwiklińska nie żyje. 37 lipca zmarła w Warszawie w wieku 92 lat Mieczysława Ćwiklińska, wybitna aktorka teatralna i filmowa, laureatka nagrody państwowej i nagrody miasta Warszawy, odznaczona Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne osiągnięcia w dziedzinie sztuki teatralnej, ostatnia reprezentantka aktorskiej rodziny Trapszów. Wystąpiła w ponad 100 sztukach teatralnych, z których największy rozgłos przyniosła jej rola babki w sztuce Aleksandra Casony „Drzewa umierają stojąc” (półtora tysiąca występów na terenie całego kraju). Mieczysława Ćwiklińska wystąpiła również w 40 filmach. Po wojnie oglądaliśmy ją na ekranie w „Ulicy granicznej” (1949 r.). Ostatnie lata życia, w czasie których nie opuszczała sceny, poświęciła pisaniu pamiętników. Mieczysława Ćwiklińska pochowana została w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie”.

Eugeniusz Bodo, któż z nas nie zna tego nazwiska? Starsze i średnie pokolenie pamięta go z wielu filmów i z szel-

mowsko śpiewanych piosenek. A młodzież? Z archiwalnych filmów, starych, niemodnych płyt i tygodników, wspomnień rodziców... Nazwisko tego aktora wiąże się z historią teatryków i kabaretów warszawskich takich, jak „Qui pro Quo”, „Morskie Oko”, „Cyruлик” i inne. Był tam wielką indywidualnością. Miał znakomite warunki zewnętrzne i wielki temperament aktorski i muzyczny. Wystąpił w ponad 30 filmach, śpiewając w nich piosenki, z których niemal każda stawała się przebojem. Filmy „Czy Lucy na to dziewczyna”, (razem z J. Samsarską i M. Ćwiklińską), „Czarna perła”, „Jadzia”, „Jaśnie Pan szofer”, „Pieśniarz Warszawy” przyniosły olbrzymi sukces aktorski i wokalny E. Bodo. Ogromny urok osobisty aktora sprawił, że podbijał on nie tylko publiczność, która go oglądała w kabaretach, rewiach i operetkach oraz w kinie, ale i otoczenie, w tym swoich kolegów-aktorów. A były to znakomite nazwiska: Mira Ziemińska, Hanka Ordonówna, Zula Pogorzelska, Ludwik Sempoliński, Kazimierz Krukowski, Loda Halama, Tola Mankiewiczówna, Aleksander Żabczyński — wszyscy związani z rewiowo-kabaretową działalnością teatryków. Niemal wszystkie piosenki śpiewane przez nich stały się przebojami, które śpiewała cała Warszawa. Do takich należały: „Ach te baby”, „Zimny drań”, „Panna Anna”, „Czy tutaj mieszka panna Agnieszka”, „Miłość Ci wszystko wybaczy” i wiele innych.

Bodo nie tylko grał w filmach, ale też sam pisał scenariusze i reżyserował (m.in. „Królowa Przedmieścia” zrealizowaną w 1937 r.).

Wybuch wojny zastał artystę w Warszawie. Otworzył wtedy kawiarnię „Cafe-Bodo”. Po pewnym czasie jednak, gdy warunki okupacyjne stawały się z dnia na dzień trudniejsze, opuścił stolicę i wyjechał do Lwowa. Niewiele zachowało się wiadomości z tego okresu życia aktora. Wiadomo tylko, że nie uszedł uwagi hitlerowców, świadomie wyniszczających wszystko, co miało związek z kulturą polską. Został aresztowany przez Niemców i wywieziony w nieznanym kierunku — a następnie zamordowany. Nikt nie wie dokładnie kiedy? Ustalono tylko, że zginął po 4 lipca 1941 r. — a więc w drugim roku okupacji.

Równie trwale zapisał się w naszej pamięci Władysław Hańcza. Był aktorem przeważnie głównych ról. Grywał wielkich panów: był więc niezapomnianym wojewodą w „Mazepie”, Senatorem w



Na zdjęciu (w środku) odtwórczyni konferencji prasowej zorganizowanej w związku z pokazem głośnego polskiego filmu „Noce i Dnie”

„Dziadach”, Aleksandrem Medici w „Lorenzacciu”, był królem Leorem, Juliuszem Cezarem, Duncanem w „Makbecie” i Derwitem w „Lilii Wenedzie”, księciem Januszem Radziwiłłem w „Potopie”, czy wreszcie Proboszczem w filmie „Jadą goście jadą”. Był aktorem bardzo lubianym. Było w nim coś urzekającego widzów — może rozbijający uśmiech, któremu trudno było się oprzeć.

Debiutował w Poznaniu, wchodząc na scenę z uniwersytetu, gdzie studiował polonistykę. Teatr był jednak zawsze jego największą pasją. Później zaangażował się wraz z żoną Barbarą Ludwiżanką do Łodzi. Po wojnie okłaskiwali go widzowie Krakowa, zaś od roku 1948 był aktorem Teatru Polskiego w Warszawie, któremu pozostał wierny do śmierci. W ostatnich latach życia stał się szczególnie popularny dzięki pracy w filmie i TV. Wszyscy pamiętają go z serialu telewizyjnego zrealizowanego na podstawie arcydzieła W. Reymonta — „Chłopi”. Jako Boryna zrosł się w wyobraźni widzów trwale z postacią bohatera powieści, a Kargul z filmów S. Chęcińskiego wszedł niemal do ludowej sagi o „samych swoich”. W pamięci widzów pozostanie również na zawsze jego świetna rola Fiodora Karamazowa z powieści Dostojewskiego „Bracia Karamazow” oraz Ojca ze sztuki W. Myśliwskiego „Złodziej”. Umiał być prawdziwy i wiarygodny zarówno jako wielki pan i jako prosty chłop czy robotnik. Miał gromną łatwość wcielania się w różne postacie. Zmarł nagle 19 listopada 1977 r.

Mój pobieżny przegląd kończy również wielka, co po-

przednie, postać Tadeusza Fijewskiego. Był ulubionym aktorem całej Polski. Debiutował bardzo wcześnie — jako dziesięcioletni chłopiec w Teatrze Polskim w sztuce Moliera „Chory z urojenia”. Któż wtedy przypuszczał, że ten młody chłopiec z warszawskiego Powiśla nie zostanie się już nigdy ze sztuką. W „Chorym z urojenia” wystąpił w 50 lat po debiucie na tej samej scenie — ale już w roli Argona.

Zagrał w ponad 30 filmach. Ról telewizyjnych, w tym także wybitnych zliczyć nie sposób. W „Notesie” Skowrońskiego stworzył jedną z nich, grając bezrobotnego. A w dramacie „Niespodzianka” Roztrowskiego — tragiczną postać ojca.

Całym swoim życiem twórczym, a także walką w konspiracji okupacyjnej, związał się z Warszawą — swoim rodzinnym miastem. Z jego folkloru i historii wykorzystał wiele postaci do swych ról — głównie filmowych i telewizyjnych, w których prezentował ludzi przegranych, ale bliskich widzowi. Stworzył wybitne kreacje — Twardosza z „Dożywociu” Fredry, wuja Eugeniusza w „Tangu” Mrożka, Kalmitę w „Chłopcach” Grochowiaka, Chlestakowa w „Rewizorze” Gogola, Gogo w „Czekając na Godota”.

Dzieci i młodzież zapamiętały go szczególnie z filmu telewizyjnego „Cztery pancerni i pies”. Jeszcze dzisiaj trudno pogodzić się z jego odejściem.

Życie ludzkie jest krótkie. Wielu z nas chciałoby pozostawić po sobie jakiś ślad swego istnienia. Tylko niektórym to się udaje...

CZESŁAW BUJNIK

dania pedagogów na temat wioski sierocych są różne. Jedni, jak np. dr Maria Łopatkowa —

pozwalam sobie podzielać jej poglądy — twierdzą, że taka instytucja zawsze pachnie gettem, drudzy powołują się na tradycję. Z pewnością wioska jest lepszą formą opieki niż zbiorowe domy dziecka, ale nie zastąpi rodziny, choćby przybranej.

Sprawa wioski dziecięcej w Biłgoraju jest znana Czytelnikom, ponieważ w minionych 2 latach środki masowego przekazu prowadziły dość intensywne agitacje, by pozyskać kandydatów na rodziców. Ostatnio sprawa warta jest uwagi jako casus społeczny oraz problem z zakresu pedagogiki opiekuńczej. Rozgłos, jaki zyskała ta budowa należy także złożyć na karb wysokiego patronatu, jaki stał się jej udziałem.

Zanim wielokierunkowo rozwinę temat chciałbym, aby Czytelnik znalazł właściwe miejsce dla całej tej sprawy. A będzie to możliwe jedynie wtedy, gdy uświadomimy sobie, jak dalece odbiega od doskonałości organizacja opieki nad samotnymi dziećmi oraz kultura społeczna w tym zakresie. Jakże często okrucieństwo biurokratycznej maszyny pogłębia nieszczęście dziecka, a brak wiedzy o jego przeżyciach ze strony dorosłych naraża na beznadziejną rozpacz. Małe dzieci oddaje się na święta do rodzin, a potem odsyła z powrotem do państwowego domu. Jest to prosty sposób na to, aby zdążyć sobie sprawę, czego je pozbawiono. Ze skromnych na ogół podarków dla sierot robi się oficjalne uroczystości, bo przecież w gruncie rzeczy nie pomoc się liczy, ale fakt, kto jej łaskawie udziela. Nasza próba rozumienia sieroctwa kończy się zwykle filantropią. W całokształcie naszego systemu opiekuńczego wioska dziecięca w Biłgoraju nie jest wcale przykładem wołającym o pomoc do nieba, mimo, że w myśl własnych przekonań muszę ją nazwać rezerwatem. Zarówno wtedy, gdy oficjalne ręce kładły pierwszą cegłę, i teraz, istniało i istnieje nadal wiele nie rozwiązanych problemów, jakie niesie ze sobą los odtrąconych dzieci. Wioskę trzeba więc widzieć na tle pewnej całości.

A proces jej powstawania? To klasyczny przykład kategorycznego narzucania woli, podejmowania decyzji bez chęci rzetelnego przewidywania skutków i lekceważenia autentycznego zaangażowania ludzi.

Idea wioski dziecięcej nie jest w naszej pedagogice czymś nowym. W okresie, kiedy Janusz Korczak swą reformatorską działalnością wychowawczą, skierowaną ku dzieciom osieroconym i opuszczonym dokonuje przełomu w pedagogice opiekuńczej, równolegle Czesław Babicki tworzy oryginalny system tzw. wy-



Na przykładzie Biłgoraja...

chowania rodzinnego, a działacz oświatowy i pedagog Kazimierz Jeżewski (1877—1948) zakłada tzw. Towarzystwo Gniazd Sierocych, a później Towarzystwo Wiosek Kościuszkowskich, które realizują wychowanie dzieci dorosłych na zasadzie włączania ich do rodzin zastępczych. Polska pedagogika odegrała dużą rolę w kształtowaniu się nowoczesnej pedagogiki opiekuńczej.

Pomysł założenia wioski dziecięcej żył na Zamojszczyźnie co najmniej od lat 60-tych. Przed kilku laty zarysowała się szansa jego realizacji. Wiosną 1979 roku ekipa Biłgorajskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego przystąpiła do pracy: „Za rok wioska dziecięca przyjmie pierwszych wychowanków” — zachwycały się gazety. Wkrótce jednak ekipę skierowano na ważniejszą budowę, podobno huty „Katowice”, więc dziś, ponad rok po terminie, spośród 15 zaplanowanych mamy gotowy jeden domek. A gdzie reszta wioskowego obejścia — pawilon administracyjno-socjalny, dziecięcy dom kultury, urządzenia sportowe, place zabaw?

Nic więc dziwnego, że Międzynarodowe Stowarzyszenie S.O.S. Kinderdorf International z siedzibą w Wiedniu nie jest zadowolone z postępu robót. Podkreślić należy, że na mocy umowy, jaka została zawarta w listopadzie 1978 roku ma ono prawo interesować się kwestią budowy i podstawowych założeń organizacyjnych wioski. Jak wynika bowiem z umowy podpisanej m. in. przez prezesa S.O.S. K.I. i polskiego ministra oświaty, strona polska zobowiązała się realizować w wiosce 4 główne zasady stosowane we wszystkich wioskach Federacji S.O.S. rozrzuconych po świecie (ok. 100). Są to: grupy dziecięce wychowywać będą wyłącznie matki (znaczy kobiety samotne), dzieci będą chowane w rodzeństwie, każda grupa będzie miała swój dom i w całości — będzie to wioska. Stowarzyszenie z kolei zobowiązało się stawić do dyspozycji MOiW sumę 1 mln dolarów (do-

ład przekazano połowę) i w razie potrzeby udzielić patronackiej pomocy finansowej w utrzymaniu wioski.

WYKLUCZAJĄ ONE KONCEPCJĘ WIOSKI

Po podpisaniu umowy uświadomiono sobie, że mamy w Polsce 2 podstawowe zasady pedagogiczne: 1) najlepszą opiekę zapewnia pełna rodzina, 2) należy dążyć do tego, co doktor Maria Łopatkowa nazywa zamazywaniem odrębności sieroczej. Obydwie więc wykluczają w ogóle koncepcję wioski, skłaniając się ku sprawdzonej w dużej mierze właśnie u nas „instytucji” rodzin zastępczych. Mimo tych rozbieżności Ministerstwo postanowiło połączyć koncepcję polską i austriacką.

W ślad za decyzją, że w każdym domku grupę dzieci ma wychowywać małżeństwo, poszła akcja propagandowa, w głównej mierze w telewizji. Chodziło o pozyskanie chętnych. Zgłosiło się setki małżeństw z całego kraju. Po wstępnej wymianie informacji co do charakteru przedsięwzięcia pozostało kilkadziesiąt rodzin. I z każdą trzeba było osobno rozmawiać — rozmawiać tak, żeby ocenić, czy można im powierzyć na całe życie ośmioro dzieci. Należało uważać, by nie dać się zwieść pozorom, zapewnieniom o altruistycznych motywach, zachować zimną krew, gdy pierwsze pytanie „miłośników sierot” dotyczyło garażu i ogródka. I nie odrzucić jakichś cudownych, ofiarnych ludzi tylko dlatego, że nie potrafili się odpowiednio zareklamować. Niekiedy najbardziej zapalali się mężowie, ale Helena Hassowa, dyrektor biura TPD w Zamościu, która musi wypijać teraz piwo nawarzone przez ministerstwo, zawsze owych entuzjastów testowała szczególnie uważnie: „Panie, a jak pan przyjdzie do domu, a tu ośmioro dzieci chce jednocześnie na kolana, to co pan zrobi?”. Były też wywiady środowiskowe w miejscu zamieszkania, odwiedziny, długie i coraz ściślejsze kontakty, projekty.

Podkreślić należy, że organizatorzy z Zamościa mieli ambicje stworzenia dzieciom takich warunków, w których zapomniałyby one o swym sieroctwie. Nie sposób było jednak przewidzieć wszystkich sytuacji, jakie przyniesie życie i wszystkim zapobiec. Już samo skupienie rodzin w jednej wiosce, wyodrębnionej z miasta... życia zaaranżować się nie da, to pewne, ale pewnym jest też, że podstawowe gwarancje prawne i socjalne muszą być stworzone z uwzględnieniem maksymalnej ilości przypadków losowych. Nie dopełniono tego warunku i to dobrze, bo w świetle ostatnich faktów więcej ludzi byłoby rozczarowanych.

W końcu, po wszystkich eliminacjach pozostała grupa kilkunastu małżeństw, którym trzeba było już tylko napisać: „Wybraлиśmy właśnie was, przygotujcie się do zasadniczego zwrotu w swoim życiu.” Tych listów pani Hassowa na szczęście nie wysłała.

TRUDNY DYLEMAT

Na szczęście — bo zmieniła się koncepcja tzn. wetknięto ją w ramy uzgodnione w umowie. Pani Helena przetrzymując nadciągającą burzę — gdy byłam u niej w grudniu ub. roku — mówiła z ogniem w oczach: — „Ja nie widzę siebie ani kogokolwiek innego, kto by mógł, proszę pana, stanąć przed kamerą i powiedzieć, że dotychczasowa koncepcja kwalifikacji pełnych rodzin jest błędna, wobec tego trzeba ją zmienić. Nie wiem, na ile można będzie mieć gwarancję, że ludzie znowu nam uwierzą...” Panią Helenę tym razem ominęła okazja stawiania przed kamerą, bo uczynił to w styczniu br. wiceminister oświaty i wychowania Jerzy Wojciechowski, który stwierdził: trzeba zacząć nową rekrutację — samotnych kobiet.

Bo oto złożyło się tak, że latem czy w jesieni przedstawiciele S.O.S. przeczytali gdzieś w gazecie, że w biłgorajskiej wiosce,

dokończenie na str. 15

W czasie deszczu



Będzie deszcz, i będzie błoto!
Dzieci bawią się z ochotą —
Jacek, Danka oraz Kaśka
Będą robić z błota ciastka!

Będzie też przepyszny obiad,
Żeby Maciek sobie podjadł —
Więc już nóżki utyłane
Rozrabiają... kluski lane

Do rosółki, który kipi,
W tej kałuży obok Krysi...
A na deser — coś z rolady,
smacznej, ciemnej czekolady...

Z foremkami Krysia stoi,
i, choć deszczu się nie boi,
Patrzy z żalem na kałuże:
Ona — mała, one — duże...

Z której by tu kuchnię zrobić?
(świeżą trawą przyozdobić)
By — szybciej, choć z godnością,
Upiec ciastka małym gościom?

I, choć mama trochę skrzyczy,
za zbrudzone rączki Krysi —
To z przejęciem, bardzo zręcznie,
Ciasto swe wygniata ręcznie...

A gdy wszystko już gotowe,
Chociaż kapie deszcz na głowę —
Śmiech rozlega się wokół
— W czasie deszczu jest wesoło!

E. Lorenc

Opowiemy Wam dzisiaj legendę o... diabelskim moście, takim, co to z pomocą samego diabła został pobudowany. A więc posłuchajcie.

Działo się to dawno, bardzo dawno temu w Ojcowie. Tam właśnie, na szczycie skalistej góry, moźny pan Kasztelan wybudował sobie wspaniały zamek i pragnął go połączyć mostem powietrznym z wysoką, prawie pionową, przeciwległą górą. Wzywał wszystkich majstrów, co się na takiej robocie znali, obiecywał góry złota, ale daremnie, nikt nie chciał się podjąć tak trudnej budowy.

Aż przyszedł raz do Ojcowy młody murarz i kiedy mu pan Kasztelan powiedział, czego chce, zapalił się tak do tego projektu, że podjął się go wykonać. Wyobraził sobie, jak pięknie most zawisnie w powietrzu między skałami, nad bystrą i wartką rzeką Prądnikiem, i wziął się raźnie do dzieła. Nie jadł, nie spał, tylko myślał, rysował, obliczał, ale coraz większy go strach ogarniał, że nie wykona zamiaru, coraz więcej spostrzegał trudności. Wstyd mu było króla, wstyd samego siebie; nieraz aż lży żalu i wściekłości dusił na myśl, że będzie musiał ustąpić przed trudnościami. „Choćby z diabła pomocą, a postawić most muszę” — rzekł wreszcie sam do siebie. A choć wypowiedział tę bardziej myślą niż słowy, kusy usłyszał. I już go masz: w czarnym fraku, z ręcznie przykrywającym ogon, w krótkich spodenkach, pantoflach i w peruce, aby mu rogów znać nie było: zjawia się przed murarzem, kłania się kapeluszem i doprasza się do spółki.

Murarz poznał diabła, ale tak wziął się do roboty, że już na nic nie zważał. Zaczynają rozprawać o moście, grzeczny jegomość z daleka zatrąca, że na tę i tamtą trudność znajdzie radę, ale chciałby mieć jakąś korzyść ze spółki.

— Czego chcesz? — pyta murarz.
— E, niewiele, na małym przestanie. Gdy most ukończymy, zabiorę sobie pierwszą istotę żyjącą, która po nim przejdzie.

— Zgoda! — zawołał murarz, niewiele myśląc o warunkach, bo aż się palił do roboty.

Jak z bicza trzasł, stanął most, doskonale zbudowany, a murarz napatrzeć mu się nie może, ręce zaciera z radości. Tymczasem kusy usiadł w dolinie nad Prądnikiem i czeka na murarza, który musiał przejść po moście, aby się samemu przekonać o jego dobroci i innym móc go pokazać. Niecierpliwie rwał się murarz do tego i byłby zapomniał o warunku spółki, ale na szczęście przeżegnał się i westchnął z wdzięczności do Boga, aż tu słyszy, jakby nad sobą, głos: „Daj pokój, nie idź!”. Dopiero wtedy przypomniał sobie wszystko i złapawszy prosie, które mu się nawinęło, na most je wpędził z wielkim śmiechem i uciechą. A diabeł na widok prosięcia, idącego po moście przodem, straszny się gniewem zapalił. Wzniósł się znad Fraćnika, rogiem w most od spodu uderzył, dziurę w nim wybił, biedne zwierzę porwał za nogi i rzucił z wściekłością w dolinę.

Murarz dziurę chciał naprawić, ale daremnie. Wszystko, czym ją zapychał, waliło się w przepaść, gdy tylko nogę postawił. Całe szczęście, że był ostrożny i nie szedł śmiało, lecz kroku próbował, boby go kusy dostał był w swe spony. Aż w końcu murarz naprawy zaniechał i w moście została dziura. Dziwowali się jej ludzie, zjeżdżający z różnych stron, aby most oglądać. I stąd właśnie powstało przysłowie: „Potrzebny jak dziura w moście”.

Oprac. według podania
Oskara Kolberga



Korzystając z wolnych, wakacyjnych dni, na pewno wielu z Was wybierze się na pieszą wędrowkę po Polsce. Zachęcamy do zwiedzania okolic Ojcowy (przypomnicie sobie tam legendę, którą Wam dzisiaj przedstawiamy) oraz Pieskowej Skały. Zachwycicie się na pewno tajemniczą i groźnie wyglądającą skałą, zwaną „maczugą Herkulesa”. Dziwna ta skała jest u swego podłoża węższa niż u szczytu. Ileż legend wiąże się z tymi malowniczymi okolicami... Warto tam zawędrować, nacieszyć oczy pięknymi widokami i posłuchać zajmujących opowieści tutejszych przewodników

POGADANKI O HISTORII KOŚCIOŁA

Niezależny Kościół Utrechcki



Cornelius Steenoven (1662—1725) — pierwszy arcybiskup niezależnego od Rzymu Kościoła Utrechckiego

Apostolem Fryzji, czyli ziem noszących dzisiaj miano Holandii był święty Willibrord, mnich angielski przybyły tutaj z 12 towarzyszami w 690 roku. Pięć lat później widzimy Willibrorda w Rzymie, gdzie z rąk patriarchy Sergiusza I otrzymuje sakrę biskupią. Po powrocie do Fryzji, Willibrord zakłada stolicę misji w Utrechcie. W 755 roku Utrecht zyskuje rangę arcybiskupstwa zależnego bezpośrednio od Rzymu. Ponieważ kraj ten znalazł się w granicach imperium frankońskiego, kolejnych biskupów dla Utrechtu mianował władca francuski. Cesarz Konrad III rzeka się tego prawa na rzecz dwu kapituł utrechckich i od 1145 roku sami kanonicy kapituł wybierają dla tutejszej wspólnoty biskupa, a o wyborze powiadamiają Rzym, który do wyboru nie miał przez całe wieki zastrzeżeń.

W 1566 roku wybuchło w Holandii (wówczas Niderlandy) powstanie narodowe przeciwko panowaniu Hiszpanów. Po zwycięstwie powstania, religią wiodącą w Holandii stał się kalwinizm, którego zwolennicy walczyli się do uzyskania niepodległości w 1581 roku. Dla katolicyzmu Holandia stała się znów krajem misyjnym. Misjami kierował wikariusz apostolski w randze biskupa, mianowany bezpośrednio przez papieża. Od 1688 roku kierownikiem misji w Holandii był arcybiskup Piotr Kodde. Ponieważ jezuiti oskarżyli Koddego przed papieżem o sprzyjanie jansenizmowi, Arcybiskup musiał pojechać do Rzymu w celu złożenia odpowiednich wyjaśnień. Przed opuszczeniem kraju wyznaczył Kodde swojego zastępcę, natomiast papież wyznaczył innego wikariusza apostolskiego, którego jednak społeczność utrechcka nie przyjęła, pozostając wierna swemu arcybiskupowi i jego zastępcy, nawet wówczas, gdy na Koddego z tego powodu spadła klątwa. Zawieszony w czynnościach arcybiskup Kodde nie przestał pełnić swego urzędu na życzenie całego ludu. Tak więc narodowy Kościół katolicki w Holandii powstał już w 1702 roku. Osiem lat później umiera arcybiskup Piotr Kodde. Po jego zgonie Niezależny Kościół Utrechcki przez jakiś czas pozostał bez pasterza. Zwrócono się z prośbą o radę do katolickich uniwersytetów we Francji. Prawnicy katolicki przyznali rację uczonemu Holendrowi Van Espenowi, który radził, by starożytnym zwyczajem kapituła wybrała biskupa a do ważności sakry nie jest potrzebna aprobaty papieska. We Francji większość biskupów nie miała takiej aprobaty, a mimo to ważnie zarządzili diecezjami i udzielali święceń oraz sakry biskupiej.

Ośmiu kanoników holenderskich wybrało w 1723 roku, na biskupa księdza doktora Korneliusza Steenowena. Zawiadomiony jak przed wiekami Rzym nie dał żadnej odpowiedzi. Milczenie uznano za zgodę. Sakry biskupiej udzielił biskup Dominik Varlet, były misjonarz w Kanadzie. Papież Benedykt XIII w 1725 roku orzekł, że tak wybór, jak też sakra biskupa Utrechtu jest nieważna, ale nie wyklął Steenowena. Klątwa spotkała dopiero jego następcę. Biskup Dominik Varlet czterokrotnie podtrzymał sukcesję apostolską dla Utrechtu. Dopiero czwarty biskup żył dłużej i zbudował sieć administracyjną Niezależnego Kościoła w Holandii, ustanawiając jeszcze dwie stolice biskupie: w Haarlem i w Deventer. Niebawem odbył się też pierwszy synod Kościoła utrechckiego, zwanego również starobiskupim.

Rzym dopiero w 1853 roku wznowił własne arcybiskupstwo w Holandii. Oba Kościoły żyły obok siebie wprawdzie bez napięć, ale też bez wzajemnej życzliwości. Zmiana nastąpiła za naszych czasów w 1866 roku, kiedy to został nawiązany dialog ekumeniczny. Z ramienia Niezależnego Starobiskupiego Kościoła Utrechckiego rozpoczął go arcybiskup Andrzej Rinkel, a w imieniu Kościoła Rzymskokatolickiego, z upoważnienia przewodniczącego Sekretariatu do Spraw Jedności Chrześcijan, kardynał Bernard Alfrink. Dotychczasowym sukcesem jest fakt, że Rzym odstąpił od uporczywie dotąd podtrzymywanego zarzutu, że Niezależny Kościół Utrechtu sprzyjał jansenizmowi. Obecnie arcybiskupem starokatolickiego Kościoła Utrechtu jest Marinus Kok, który pełni zarazem funkcję przewodniczącego Konferencji Biskupów Starokatolickich, założonej w 1889 roku. Biskupi Kościoła Polskokatolickiego są czynnymi członkami tejże Konferencji.

Ks. ALEKSANDER BIELEC

MUZYKA ORGANOWA

Prawie w każdym kościele można spotkać choćby niewielkie organy, które wzbogacają czynności liturgiczne i nabożeństwa. Ten „anielski instrument” wynalazł już w trzecim wieku przed naszą erą aleksandryjski mechanik Ktesibios. Były to organy hydrauliczne, w których ciśnienie powietrza powstało przez tłoczenie wody z jednego zbiornika do drugiego. Od IV wieku znane były już organy z miechami. Szczególny rozwój przypada dopiero na wiek XVII. W ubiegłym stuleciu i obecnym, dzięki wykorzystaniu energii elektrycznej, wprowadzono wiele ulepszeń technicznych w tym kościelnym instrumencie.

Ze swojej ponad 20-letniej pracy organistowskiej i chórmistrzowskiej wiem, że muzyka organowa, aby była muzyką dobrą, musi spełniać następujące warunki:

a) Organ musi być w dobrym stanie. Nawet najlepszy organista nie wygra artystycznej muzyki na rozstrojonych i zaniedbanych organach. Bywa tak, że zewnętrzna szafa organowa i piszczałki prospektowe wyglądają nieźle, natomiast wewnątrz

wszystko się sypie. Dla muzyki organowej najważniejsza jest wewnętrzna zawartość szafy tzn. piszczałki, traktura, miechy, stół gry i dobry strój całości. Pusto i głucho jest w świątyni bez organów, lecz nie zawsze gospodarze parafii reagują na głosy organistów domagających się remontów i konserwacji tych „anielskich instrumentów”.

b) Organista musi być odpowiednio przygotowany do swego zadania, tj. gry na tym przepięknym instrumencie. Każdy organista powinien być fachowcem — muzykiem. Umiejętność gry na organach zdobywa się przez lata ciężkiej pracy, ciągłych ćwiczeń i studiów. Nawet po ich ukończeniu nie wolno przerywać codziennego grania, uczenia się coraz to nowych pozycji repertuaru.

W tej chwili przypomina się mi niezwykła miłość do muzyki organowej słynnego doktora Alberta Schweitzera (1875/1965), który mając osiem lat grał już na organach, a gdy miał dziewięć lat, pozwolono mu po raz pierwszy zastąpić organistę w czasie nabożeństwa. Jego wspaniali

nauczyciele, organista Eugeniusz Munch i kompozytor francuski Charles Maria Widor ukształtowali talent Schweitzera i wszczęli mu wielkie zamiłowanie do muzyki organisty wszechczasów — Jana Sebastiana Bacha. Schweitzer uwielbiał jego muzykę. Zmęczony całodzienną pracą, późną nocą udawał się do kościoła, gdzie co najmniej godzinę grał na organach, znajdując w ten sposób odpoczynek dla umysłu i serca. Nawet, gdy znalazł się w Afryce, aby leczyć trędowatych, nie rozstawał się z organami. Jego przyjaciele zadbali, aby ten wielki lekarz miał na swoim dobrowolnym wygnaniu organy, na których mógłby koncertować sobie i najbliższym. Do ostatnich dni swego pracowitego i długiego życia zasiadał do organów, aby zagrać coś z bachowskiej muzyki. Dla nas, organistów, właśnie ten „święty z dzungli”, jak zwano Alberta Schweitzera, może być wzorem wytrwałości i nieustannego pogłębiania nauki gry na organach.

c) W muzyce organowej trzeba uwzględnić odpowiedni repertuar. Należy zatem przede wszystkim uczyć się poprawnej gry oryginalnych

kościelnych utworów organowych (np. Pachelbela, Buxtehudego, Haendla, Bacha, Regera, Francka, Vierne...), a dopiero w drugim rzędzie marsze weselne, żałobne i inne utwory przeniesione z oper lub innych dzieł świeckich.

Muzyka w liturgii spełnia dwojakie zadanie:

1 — pełni rolę akompaniatora do śpiewów kantora, scholi, chóru wielogłosowego i ludu, czyli rolę służebną;

2 — organista może wystąpić jako solista w liturgii mszalnej na początku, podczas ofiarowania, rozdzielania Komunii Św. i na zakończenie. Charakter wykonywanego utworu powinien odpowiadać akcji liturgicznej i musi być tak dobrany, aby nie przedłużał liturgii. Oczywiście, repertuar powinien być starannie przygotowany, aby wykonanie nie raziło i nie denerwowało słuchaczy, a także nie obniżało muzycznego autorytetu wykonawcy.

Muzyka organowa ma dać nam wszystkim odczuć, że jesteśmy w Domu Bożym. Ma umożliwić skupienie oraz wprowadzenie nastroju ducha modlitewnego.

EDMUND SOBIS
(muzykolog)



Rozmowy z Czytelnikami

Wśród redakcyjnej poczty znalazł się również miły list, w którym p. Dymitr H. z Wrocławia pisze między innymi:

„Chociaż jestem rzymskokatolikiem, traktuję jednakowo każdego chrześcijanina bez względu na to, do jakiego należy Kościoła. Uważam bowiem, że każdy Kościół jest częścią Kościoła powszechnego. Zaś sama przynależność do Kościoła rzymskiego nie jest bynajmniej gwarancją zbawienia... Trudno mi też zrozumieć, dlaczego niektórzy duchowni i świeccy wyznawcy tego Kościoła dyskryminują członków innych społeczności chrześcijańskich...”

Równocześnie Czytelnik nasz zamieszcza w tym liście szczegółowy opis swojego snu, który — jak to sam stwierdza — był dla niego wielkim przeżyciem i wywarł na nim niezapomniane wrażenie. Prosi więc o zamieszczenie tego opisu na łamach naszego tygodnika.

Szanowny Panie Dymitrze! Przesłany nam list przeczytałem z prawdziwą przyjemnością. Jest on bowiem jednym jeszcze dowodem, że w Ojczyźnie naszej coraz więcej jest autentycznych chrześcijan, którzy wyzbyli się fanatyzmu i nieuzasadnionych uprzedzeń do wyznawców innych Kościołów. Czując się bo-

wiem Polakami, traktują wszystkich rodaków — bcz względu na przynależność wyznaniową czy przekonania polityczne — jak dzieci jednego Ojca w niebie, a więc jak braci. Takie postępowanie jest znaczącym wkładem w umocnienie tak bardzo dziś koniecznej jedności narodowej.

Ma Pan rację twierdząc, że sama przynależność do takiego a nie innego Kościoła nie zapewnia nikomu zbawienia. Jest to bowiem uzależnione od wypełniania woli Bożej. Prawdę tę przypomina sam Zbawiciel, mówiąc: „Nie każdy, kto do mnie mówi: Panie, Panie, wejdzie do Królestwa Niebios; lecz tylko ten, kto pełni wolę Ojca mego, który jest w niebie” (Mt 7,21). Zaś Apostoł — nawiązując prawdopodobnie do tych słów Chrystusa — stwierdza: „Cóż to pomoże, bracia moi, jeśli ktoś powie, że ma wiarę, a nie ma uczynków? Czy wiara może go zbawić?” (Jk 2,14). Trudno się też dziwić, że niektórzy wyznawcy Chrystusa niewłaściwie traktują braci z innych Kościołów, skoro przedstawiciele Synagogi izraelskiej prześladowali samego Jezusa Chrystusa. Syn Boży zawsze przygotował swych uczniów na podobne traktowanie. Zwracając się do apo-

stołów, oraz do tych wszystkich, którzy kontynuować będą zleconą im misję, powiedział: „Będą was wydawać sądom i biczować w swoich synagogach. I z mego powodu zawiodą was do namiestników i królów, abyście złożyli świadectwo przed nimi” (Mt 10,17—18). Bo „nie jest uczeń nad mistrza ani sługa nad swego pana” (Mt 10,24).

Korzystając ze sposobności, chciałbym również przypomnieć jak należy odnosić się do zdarzających się ludziom snów. Otóż marzenia sennie — nazywane popularnie „snami” — są fragmentami aktywności psychologicznej człowieka, utrzymującej się również podczas snu, w postaci mniej lub bardziej powiązanego łańcucha wyobrażeń i przeżyć uczuciowych. Treścią marzeń sennych są zachowane w podświadomości ślady dawniejszych przeżyć.

Współcześni psychologowie dzielą marzenia sennie na takie, które są skutkiem działania na narządy zmysłowe bodźców doświadcanych w ciągu dnia i w trakcie snu, oraz takie, które mają głębokie znaczenie i pełnią funkcję w życiu psychicznym człowieka. Do tych należą marzenia sennie mające charakter intuicyjny, a funkcją ich jest ostrzeżenie i przygotowanie do tego, co może się zdarzyć w rzeczywistości. Do pierwszych z nich — a zdarzają się one bardzo często — nie należy przywiązywać specjalnej wagi, a tym bardziej przejmować się nimi. Drugie zaś — występują one jednak bardzo rzadko — pochodzą niekiedy od Boga, który za ich pośrednictwem przekazu-

je ludziom swoje napomnienia i pouczenia.

Od Boga — jak czytamy w Piśmie św. — pochodziły sny faraona (por. Rdz 41,17—31), przez które władca Egiptu otrzymał ostrzeżenie przed nieurodzajem, jaki miał spaść na ten kraj. Świadczą o tym słowa Józefa, który wytłumaczywszy owe sny, powiedział: „A że sen powtórzył się faraonowi, znaczy to, że rzecz ta jest u Boga postanowiona i Bóg ją niezwłocznie wykona” (Rdz 41,32).

Od Boga pochodziły również sny, o których czytamy w ewangelii Mateusza. Tak więc, kiedy Józef spostrzegł błogosławiony stan Maryi, a nie poczuwał się być ojcem, „miał zamiar potajemnie ją opuścić. I gdy nad tym rozmyślał, oto ukazał mu się we śnie anioł Pański i rzekł: Józefie, synu Dawidowy, nie lękaj się przyjąć Maryi żony swej, albowiem to, co się w Niej poczęło, jest z Ducha Świętego” (Mt 1,19b—20). Nieco dalej ten sam Ewangelista wspomina, że trzej Mędrcy ze Wschodu „ostrzeżeni we śnie, by nie wracali do Heroda, inną drogą powrócili do ziemi swojej” (Mt 2,12). Podobnie było w wypadku konieczności ucieczki św. Rodziny przed prześladowaniem Heroda (por. Mt 2,13) oraz Jej powrotu do ziemi izraelskiej (por. Mt 2,20).

Opisu snu, który przesłał nam Pan w swoim liście nie możemy jednak wydrukować. Nie mamy bowiem pewności, czy interesowałoby to naszych Czytelników. Łączę dla Pana pozdrowienia w Chrystusie.

DUSZPASTERZ

dokończenie ze str. 12

zamiast przewidzianych w umowie matek, będą również ojcowie. I podczas ostatniej wizyty w naszym kraju zażądali wywiązania się z 4 podstawowych warunków umowy.

Stowarzyszenie to ma bowiem swoje tradycyjne ideały, wypróbowane zasady, niemałe już doświadczenia i założenia, z których nie chce rezygnować, m.in. to, że opiekę nad dziećmi sprawują kobiety, które się roli matki zastępczej całkowicie poświęcają. Nasza rodzina pedagogika nie mówi o poświęceniu, gdyż uważa, że taka funkcja nie oznacza jednostronnego daru — daje bowiem wiele nie tylko dziecku, ale i matce. Jakikolwiek nie byłby nasz sąd o S.O.S.-owskiej pedagogice — moim zdaniem — tych wymagań należało się spodziewać od początku, nawet jeśli pierwsze rozmowy były mniej zobowiązujące. Przed podjęciem

decyzji należało przede wszystkim zapoznać się drobiazgowo z koncepcją austriacką i nie „zatykać ust” specjalistom powoływaniem się na „względy polityczne”.

W konsekwencji sytuacja zrodziła następujący dylemat: albo realizujemy nasz pomysł co oznacza rezygnację z miliona dol. i wstrzymanie inwestycji, albo bierzemy milion i zaczynamy szukać kandydatek od nowa — tym razem same kobiety. Jakiego wariantu by nie wybrać, pozostał jeszcze dwuznaczny moralnie problem małżeństw, które przecież spodziewały się po tak długich kontaktach spełnienia nadziei i oczekiwań... Postawić im kawę na pożegnanie?

Tym razem przedstawiciele ministerstwa w wielokierunkowych dyskusjach z udziałem specjalistów forsowali stanowisko dotrzymania umowy. Bo chociaż kierownictwo resortu zmieniło się do tego czasu dwukrotnie, to

jednak na umowie widnieje podpis polskiego sekretarza stanu i nie jest to obojętne dla reputacji resortu. Problem samotnych matek zaś — twierdzi ministerstwo — nie jest nam obcy, bo mamy w kraju 1 milion 200 tys. takich niepełnych rodzin. A milion dolarów stanowi wielkość równą połowie rocznego importu MOiW. Wśród specjalistów zdania były podzielone, choć każdy wolałby widzieć wioskę z pełnymi rodzinami. Ale w końcu nawet dr Łopatkowa, przeciwniczka wiosek w ogóle stwierdziła, że koncepcja jest wadliwa od początku, ale jeśli nie ma żadnej możliwości dogadania się i jeśli domki mają się zmarować — wybiera mniejsze zło.

Taka też była wkrótce potem decyzja ministra: realizujemy wioskę w Biłgoraju w oparciu o matki.

A małżeństwa? Wiceminister Wojciechowski przyrzekł po po-

rozumieniu się z prezesem spółdzielczości mieszkaniowej zaproponować każdemu małżeństwu utworzenie rodziny zastępczej w różnych punktach kraju, z możliwością oczywiście zmiany miejsca zamieszkania. Jeśli władze się z tego wywiążą, to sądzę, że będzie to lepsza szansa na prawdziwe rodzinne ciepło, niż w wiosce dziecięcej. Lecz jeśli nie (sceptycyzm nie powinien nas opuszczać), to ministerstwo powinno zdawać sobie sprawę, że jego reputacja zostanie nadwątlona w kraju.

A w Biłgoraju powstanie po prostu dom dziecka o świetnych warunkach bytowych. „Zatrudnienie” w nim samotnych, lecz młodych kobiet stworzy zapewne mnóstwo różnorodnych problemów, które, aby się udało rozwiązać bez szkody dla dzieci. Ideału nie stworzyłyby i sam Korczak.

H. W.

Wydawca: Społeczne Towarzystwo Polskich Katolików, Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. KOLEGIUM REDAKCYJNE PEŁNIĄCE FUNKCJĘ REDAKTORA NACZELNEGO: ks. Edward Balakier, bp Maksymilian Rode, ks. Tomasz Wójtowicz, ks. Wiktor Wysoczański (przewodniczący Kolegium). ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Marek Ambroży, Henryk Ciok (redaktor techniczny), Małgorzata Kapińska (sekretarz redakcji), Elżbieta Lorenc, Ewa Stomal, Małgorzata Zientarska (korekta).

Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa. Telefony redakcji: 27-89-42 i 27-03-33; administracji: 27-84-33. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: — do dnia 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następny; — do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; — do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; — do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie 52 zł, półrocznie 104, rocznie 208 zł. Jednostki gospodarki społecznej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Druk PZG Sm. 10. Nr zam. 542. L-99.

rodzina
TYGODNIK KATOLICKI



Morykoni patrzył na narzeczoną ordynata coraz bardziej zdziwiony. Jej uroda, wytworność, sposób mówienia, każdy ruch zachwycał hrabiego. Stefcia przedstawiła mu się w zupełnie innym świetle niż dawniej.

— Quelle noble fille! quelle enchanteresse! — powtarzał sobie, nie wierząc własnym oczom.

Na pana Rudeckiego także patrzył niedowierzająco. Takich przeciętnych obywateli wyobrażał sobie jako mamutów — tu ujrzał zupełnie światowego człowieka i kręcił rozdzieloną głową, jakby podejrzewając, że pan Rudecki ucharakteryzował się odpowiednio.

Przy wieczerzy Stefcia siedziała naprzeciw hrabiego, nieustannie widząc jego wypukłe niebieskie oczy oszklone binoklami; wpijały się w nią jak dwa świdy. Rozmowę przy stole prowadzono ogólną, bardzo ożywioną. Stefcia odzywała się dużo i dobrze, mówiła z życiem i swobodnie. Jej oczy świeciły gwązdziście, usta pociągaly. Zachwyt hrabiego nie miał granic. Ta Rudecka robiła wrażenie patrycjuszki!

Waldemar widział podziw Morykoniego, malujący się w jego oczach. Zadowolony z powodzenia narzeczonej, umyślnie rozmowę prowadził tak, aby Stefcia mogła dużo mówić. Nie wątpił, że potrafi wybrnąć z każdej kwestii. Brał już ją nieraz na próbę i przekonał się, że ma bystry umysł, dowcip i takt.

Podczas ostatniego dania Trestka rzekł, nie zwracając się wyłącznie do nikogo i jakby pod wpływem nagłej myśli:

Najobrzydliwszą wadą naszego wieku jest flirt. Gilotynowałbym go, miażdżył — to mój wróg zapamiętały!

Panna Rita zaśmiała się.

— A sam go pan uprawiasz — rzekła z przekąsem.

— Ja? Chyba pani żartuje? Gdzież są dowody?

— Zapewne! tu ich pan nie przywiózł, pozostały za granicą.

— Czy pani miała tak ściśle informacje o moim sprawowaniu się tam? — zapytał zły.

Wszyscy się roześmiali. Rita wzruszyła ramionami.

— Och! Mało mi to obchodzi! Staję tylko w obronie flirtu.

— Bo go pani adoruje.

— Nie, ale go lubię.

— Występny chwast, stworzony przez jakiegoś demona...

— Tylko przeniesiony do nas z dworów Ludwików francuskich — odezwała się wesoło Stefcia — ho tam chyba został wynaleziony.

— Przez upudrowane głowy markizów i vicomzów — wtrącił Waldemar.

— Alho przez kwiatciarki uliczne i roznosiciele gazet — rzekł Trestka i machnął ręką.

— Ależ panie! flirt jest wytworem salonów, a nie ulicy — zaprzeczyła Stefcia.

Hrabia Morykoni bystro popatrzał na nią, przechylił się przez stół i zapytał:

— Więc pani uważa flirt za wykwit cywilizacji?

— Po części tak.

— Na jakiej zasadzie?

— Ho ludzie prości nie znają flirtu ani z nazwy, ani w dosłowym znaczeniu. Nie mają zresztą czasu na uprawianie go, nawet by nie umieli.

— Dlaczego? Gmin ma również swe zabawy, zbliżone do naszych.

— Zbliżone, lecz nie w szczegółach.

— Więc podobne.

— Ale nie nasze.

— Zasadnicza idea ta sama. — twierdził uparcie hrabia.

Stefcia nie ustąpiła.

Panie hrabio, i polna róża jest różą, lecz nie sztamową. Tu już pomijam zasadniczą ideę, bo bardzo wyraźnie występuje różnica kolorytu, gatunku i smaku. Dlatego twierdzą, że ludzie prości bawią się szczerzej od sfer inteligentnych, lecz nie posiadają oglady, będącej cechą salonów. Oni mają etykę odrębną, znamienność, jaka ich różni od wytworniejszych objawów cywilizacji.

Stefcia mówiła swobodnie tonem lekkim i dźwięcznym. Hrabia uważnie patrzył na nią spoza zmrużonych powiek.

A Trestka rzekł:

— Cała nasza wytworność ginie wobec szczerości, jaką te masy posiadają, a my nie. U nich przynajmniej w sprawach erotycznych nie ma kłamstwa, wykrętów, słodkich minek i wywracania oczu.

— Trestka ugodzony jakimś sztyletem, pewno zazdrości — rzekł ordynat.

— Ja tylko mówię, że te cechy są ich zaletą, nie wadą.

— A któż to nazywa wadą? — zdziwiła się Stefcia.

Morykoni wyręczył Trestkę:

— Pani, ponieważ uważa szczerłość za brak kultury.

— Nie zrozumiał mię hrabia. Cywilizacja nie może wyłączać szczerości, tylko osłabia ją do pewnego stopnia, zmniejsza niejako jej chropowatość.

Hrabia poprawił bokobrody.

— Przypuścimy, że tak. Ale i oni nie są już absolutnie wyczuci z cywilizacji.

— O tak! lecz oni są zaledwo odziani w nią.

— A my?

— My już ubrani, często ustrojeni.

— A najczęściej udekorowani — rzucił Trestka.

— I to bywa! Ci, co są udekorowani cywilizacją, noszą ją jak pióropusz, na widoku — dla świata jedynie, w rzeczywistości są czasem hardzo pierwatni. Ale taki machiawelizm zdarza się w sferach wyższych, nie wśród ludu. U nich ten wyraz inną nosi nazwę i do innych go okoliczności zastosowują. Tak samo to, co my nazywamy flirtem, u nich zwie się...

— Smaleniem cholewek — zaśmiał się Waldemar.

— Balamuctwem — dodała Stefcia.

— Nie widzę w tym różnicy — rzekł hrabia.

— Bo grunt jednak, tylko kwiaty różnych odcieni i nazwa tam zapożyczona z obcej gwary, a tu właściwa.

— Wracam do rzeczy — zaczął znowu Morykoni. — Więc pani sądzi, że odporność ich w przyjmowaniu kultury jest winą ciasnoty mózgow, jakie posiadają?

— I winą kultury. Tu są równe prawa. Ciasnota ich pojęć nie pozwala światłu rozszerzać się, a kultura jest jeszcze zbyt umiejscowiona, nie dosięga do wielu ciemnic.

— Umiejscowiona? Gdzie?

— W uprzywilejowanych kolach.

— Dlaczego?

— Bo skąpo płynie na inne... niższe.

— Pani mówi o sferach?

— Nie, ja mówię o dwóch biegunach: o inteligencji i pospółstwie.

— Więc na bardziej subiektywny rozbiór pani się nie zgadza?

— Owszem, ale tu różnica już jest mniej wyraźna.

— Przeciwnie; bywa jaskrawą.

— Gdy odróżnia przeciętną inteligencję od wyższego stopnia rozumu i geniuszu.

— Niekoniecznie. Istnieją jeszcze inne odmiany.

— Zawsze umysłowe.

— Sferowe także.

Pan Rudecki drgnął niespokojnie. Zaległo milczenie. Hrabia wpił oczy w Stefcię ze złośliwym wyrazem. Ona zapłonęła.

— Odstępujemy od przedmiotu, panie hrabio — rzekła z nikłym uśmiechem.

— Tylko roztrząsamy go.

— Ach! więc sferą pan określa pewne stopnie umysłu — tak?

— Nie, zostawiam jej znaczenie w zakresie klasyfikacji społecznej.

— A zatem przedmiot wikła się.

— Z jakiego powodu?

— Bo stopniowanie wyżyn sferowych nie równa się stopniowaniu różnic umysłowych. To już są dwie alternatywy o całkiem odmiennym brzmieniu i znaczeniu.

— Pani chce przez to powiedzieć, że pomiędzy przeciętną inteligencją a sferą... wyższą nie ma żadnych intelektualnych wypukłości, Czy tak?

— Nie ma znamiennych wypukłości, które by już tworzyły skalę przeważającą na tę lub drugą stronę. Ale nie mówię: żadnych, bo różnice są — sporadyczne, zdarzają się i tu, i tam w równej mierze. Tylko nie twarzą muru dzielącego obie sfery z przewagą dla wyższej.

— Jednak w pani mniemaniu, która z obu sfer posiada szanse większego uzdolnienia i częściej przechowuje genialne umysły?

Hrabia powiedział to z ironią źle ukrytą i z miną satyra. Nie uważał zimnego wzroku Waldemara ani zdumionych spojrzeń obecnych osób. Chciał koniecznie zmieszać Stefcię. Patrzył na nią szyderczo, zapominając, że igra z ordynatem, i powtórzył pytanie:

— Którą sferę uważa pani za hardziej rozwiniętą umysłowo, etycznie i estetycznie? — rzekł z akcentem.

Stefcia zarumieniona, podniecona rozmową, uśmiechnęła się z przymusem. Ale nie dając poznać po sobie przykrości, podniosła oczy wprost na jego binokle i odrzekła swobodnie:

— Panie hrabio, mój sąd mógłby być zbyt jednostronny dla sfery, z której pochodzę, a przedwczesny dla tej, do której mam wejść, zatem pytanie pańskie zostawiam do jego własnego uznania.

Przy ostatnich słowach skinęła lekko głową i zwróciła się do siedzącego obok Waldemara, zakończając w ten sposób rozmowę z hrabią.

Ordynat był uszczęśliwiony. Przeszył hrabiego ironicznym wzrokiem i spojrział na narzeczoną. W źrenicach jego znikły groźne światelka, a mignęło wzruszenie.

Takt Stefci ujął wszystkich.

